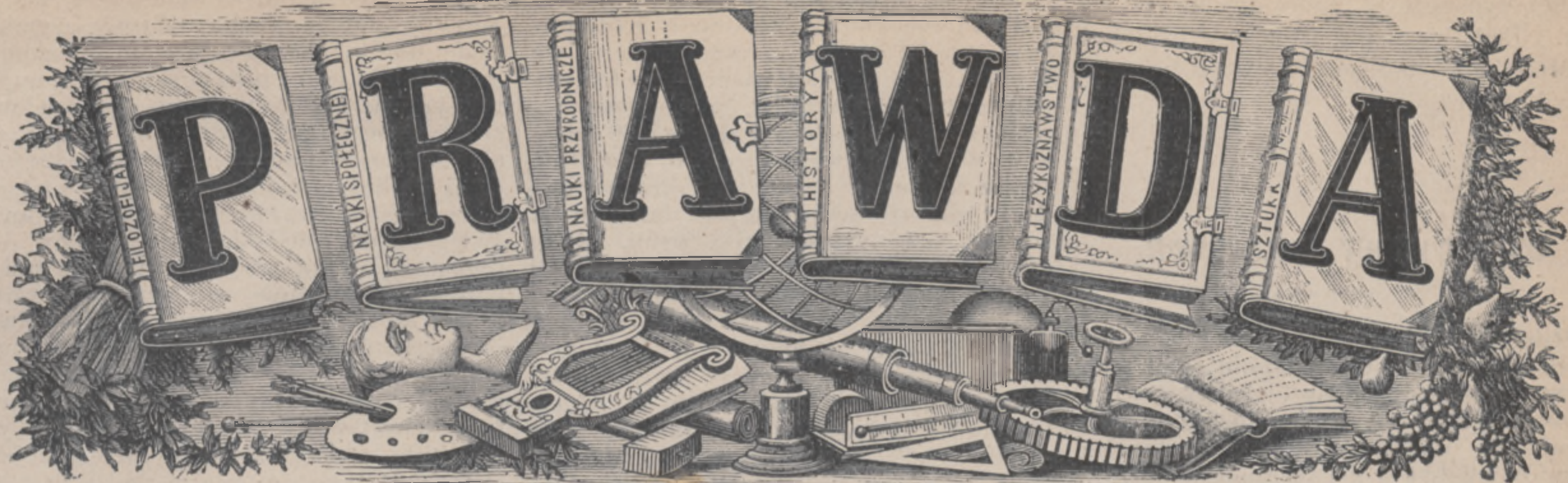
№ 6. Warszawa, dnia 9 Lutego (28 Stycznia) 1884 r. Rok IV.




TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

**PRENUMERATA „PRAWDY"** (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
**W Warszawie**: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
**Z przesyłką pocztową** do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: **Włodzimierska Nr. 2.**
**Administracya** otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
**Redaktor** przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
**Rękopisy** drobne nie zwracają się.

**Przedpłatę przyjmują**: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
**Sprzedaż pojedynczych numerów** po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
**Ogłoszenia** wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

**TREŚĆ.** 

## MONOPOL ROLNY.

Żaden kraj w świecie nie przedstawia gruntu, bardziej uprawionego pod zasiew socyalistyczny, jak Anglia. Dwa pola walki: własność ziemska i wielki przemysł przedstawiają tam najbardziej nierówny podział środków produkcyi — największe bogactwa i największą nędzę. Nigdzie ziemia nie jest tak skupiona w nielicznych rękach i nigdzie kapitał tak nie zapanował nad pracą. To też jeżeli rewolucya społeczna dopiero teraz tam dojrzewa, wytłomaczyć to można jedynie głęboko wkorzenionem poczuciem prawa i umiarkowanymi popędami rasy.

Ale ostatecznie dojrzewa i jej nadciągającą chmurę widzą rozmiłowani w obecnym porządku rzeczy konserwatyści. W jednym z poprzednich numerów *Prawdy* zaznaczyliśmy objawy przenikania nowego prądu do sfer najwyższych i najuparciej zachowawczych — ministeryalnych i duchownych. Obecnie *Times* wykrywa go szerzej. Socyalizm angielski — powiada ten dziennik — zrodziła szkoła, założona przez Cobdena, ucznia A. Smitha, który postawił zasadę, że państwo powinno możliwie najmniej ścieśniać jednostkową swobodę umowy. Cobden przeto był przeciwnikiem ograniczania godzin pracy w fabrykach. Ale szkoła manchesterska, której on przywodził, przez popieranie kierunku demokratycznego pobudziła rząd do rozpostarcia władzy państwowej na te dziedziny, o których A. Smith nawet nie przeczuwał, że państwo pragnie nad niemi rozciągnąć nadzór. Gladstone wykształcił się naprzód w szkole R. Peela, a potem przyjął zasady demokratycznej. W r. 1864 wniósł on swój bill o zabezpieczeniu życia przez państwo. To był początek socyalizmu państwowego w Anglii. Trzy przyczyny — według *Timesa* — objaśniają tę dążność jej prawodawstwa. Przedewszystkiem zbudziło się sumienie ogółu przeciwko nadużyciom osobistej swobody zawierania umów; powtóre ujawnił się protest przeciwko nieograniczonemu prawu jednostek do zbogacania się, podczas gdy inni ubożeją; trzecią przyczyną jest rozdział władzy politycznej i przeniesienie jej z niewielu na wielu.

To rozdrobienie władzy w dalszym ciągu (na którem około miliona robotników rolnych i chłopów ma zyskać prawa głosowania) będzie przedmiotem obrad najbliższej sesyi, ale stanowi tylko „wstęp polityczny do głębokiej rewizyi ustaw ziemskich," które od wieków zapewniają przeważny wpływ państwowy feudałom. O usunięcie monopolu posiadania ziemi (podtrzymywanego przez majoraty i fideikomisy) walczą teraz głównie żywioły liberalne i radykalne, łącznie, chociaż niezawsze zgodnie z socyalistami.

Od dwu lat na czele jednej gałęzi ruchu stanął słynny naturalista A. R. Wallace, który, zarówno jak H. George, utrzymuje, że swoboda handlu ziemią, nietylko nie uleczy złego, ale je powiększy. Chciwość nabywania tej ostatniej jest w zamożnych klasach nienasyconą. Jeżeli ograniczenia prawne zostaną zniesione, wtedy bawełniani lordowie z Manchesteru, milionerzy z Sheffieldu i Birminghamu rzucą się na uwolnioną ziemię jak kruki na padlinę i jeszcze bardziej ujarzmią chłopów, niż dotąd. Ażeby temu zapobiedz obaj uczeni radzą „unarodowienie ziemi przez państwo," t. j. odebranie jej z rąk prywatnych. Uczyniła to już Rewolucya francuska i zachwalał H. Spencer — jak słusznie zauważa *Fr. Zeitung* — zalecając przytem wynagrodzić pieniężnie właścicieli za stracone dochody. H. George przystępuje do rzeczy radykalniej. On nie chce ziemi od dotychczasowych właścicieli nabywać, ani nawet jej odbierać: pozostawia im prawo rozporządzania nią, kupna i sprzedaży, ale żąda konfiskaty czynszów. To znaczy — według wspomnianej gazety — „chce im pozostawić łupinę a zatrzymać ziarno." Tym środkiem spodziewa on się usunąć nędzę, podnieść cywilizacyę itd.

Ta wspaniała „teorya złodziejska" — jak ją nazwano — przeraziła nawet zwolenników „unarodowienia ziemi," którzy, mówiąc językiem naszych stosunków, głosują za uwłaszczeniem chłopów lub państwa z listami likwidacyjnymi.

„Utopie marzycieli socyalistycznych — powiada *Fr. Zeitung* — nie znalazłyby odgłosu ani w społeczeństwie angielskiem, ani nie zwróciłyby uwagi wysoko stojących polityków, gdyby nie było rozpowszechnionem to przekonanie, że monopol rolny w swej obecnej postaci jest rakiem toczącym cały organizm. Szereg lat nieurodzajnych zrujnował wielu dzierżawców... W hrabstwach tysiące morgów płodnego gruntu zamieniły się na pustkowia, gdyż właściciele nie mogli znaleźć wypłacalnych dzierżawców, a nie chcieli wypuścić ziemi w drobnych częściach chłopom. Nędza w Irlandyi (1880) i zrodzony przez nią spisek rolny są bezpośrednimi skutkami tego monopolu, i wszystkim wiadomo, że Gladstone uratował Irlandyę od wojny domowej tylko przez ograniczenie praw lordów. Biedy śród drobnych farmerow w Szkocyi północnej winni również oni lub ich agenci. W samej Anglii rząd usiłował lękliwie naprawić stosunki między lordami ziemskimi i dzierżawcami zapomocą osobnego billu na ostatniej sesyi, ale podczas gdy z jednej strony słyszymy o lordach, którzy zmniejszaniem opłat dają farmerom jałmużnę, inni drogą umowy osłabiają dobrodziejstwa prawa."

Reforma rolna więc jest nieuniknioną koniecznością dla Anglii, tak nieuniknioną, jak — na wypadek uporu lordów —

rewolucya, lub przynajmniej ta niszcząca walka dynamitowa, która dziś się tam toczy. Bądź co bądź, jesteśmy widzami i świadkami bardzo ciekawego procesu cywilizacyjnego.

## DOWCIPNY MANEWR.

Dzienniki galicyjskie zadzwoniły gwałtownie na strach z powodu gotującej się na wiosnę emigracyi chłopskiej do Ameryki. Przez całą zimę odbywały się przedwstępne czynności: układy rodzinne, wyprzedaż gruntów i dobytku dla zebrania funduszów na drogę. Zamierzone wysiedlenie nie jest żadną nowością dla Galicyi, ruch emigracyjny trwa ciągle od lat kilkunastu, tylko w bieżącym roku, po czasowem osłabieniu przybiera znowu znaczniejsze rozmiary. Nie jest on dotychczas wyświetlonym w szczegółach, ale rdzenne przyczyny jego nie tworzą wcale zagadki dla nieuprzedzonych umysłów. Na objaw ten zwrócono uwagę i starano się mu przeciwdziałać, wszystkie jednak środki zapobiegawcze okazały się bezskutecznymi. Nie pomogły ani zakazy policyjne, które, co najwyżej, mogą ów ruch utrudnić, ale nie zatamować, ani piorunujące artykuły, których chłop nie czyta, ani tendencyjne komedye na których przedstawieniu nie bywa. Zresztą gdyby nawet propaganda była czynniejszą a policya czujniejszą, nie na wiele by się to przydało, bo nad głos obywatelskiego obowiązku silniejszym jest głos pustego żołądka, którego patryotyzm nie nasyci i c. k. władza do milczenia nie zmusi. Zakazy powstrzymać mogą werbunek, z jawnego zmienić go na tajny, nie w nim wszakże spoczywa główna pobudka. Kto zna polskiego chłopa, wie, że najsłodsze syrenie głosy nie wywabią go z ojczystej zagrody, jeżeli zapewnia mu ona możność przynajmniej codziennego jedzenia kartofli. Do wędrówki o tysiące mil, do nieznanego kraju, na niepewną przyszłość skłania się on wtedy jedynie, kiedy już i kartofli nawet zaczyna braknąć...

Położenie ekonomiczne ludu w Galicyi jest rozpaczliwe... Kraj ten bez wielkich miast, bez przemysłu, zaludniony jest silniej, aniżeli np. Francya a 74% ludności jego oddaje się rolnictwu. To też kiedy w Anglii na 100 hektarów (hektar = 1.78 morga) przypada 30 głów ludności rolniczej, we Francyi zaś 40 — Galicya nie o wiele ustępuje osławionej Irlandyi, w pierwszej bowiem znajduje się 56 a w drugiej 60 rolników na 100 hektarów gruntu. Pozornie stosunek większej własności do drobnej jest dosyć dla ostatniej korzystnym, posiada bowiem ona przeszło 54% ziemi, ale te 4,200,000 hektarów dzielą się na 793,000 gospodarstw, z których 193,000 ma tylko od 5 do 10 morgów, 133,000 od 1¾ do 5 a 216,000 mniej niż hektar t. j. 1¾ morga. Dwie te ostatnie kategorye gospodarstw nie mogą zapewnić właścicielom swoim nawet wyżywienia, jeżeli zaś dodamy jeszcze około 500,000 pozbawionego ziemi wiejskiego proletaryatu, to cyfra bezrolnych i małorolnych włościan wraz z rodzinami przewyższy liczbę 2,000,000 głów. Nędzny stan produkcyi rolnej potęguje jeszcze ponure barwy tego obrazu...

W tej strasznej nędzy czerpie swoje pobudki wychodźtwo ale, niestety, nie jest wcale na nią lekarstwem. Błąka się jeszcze w niektórych głowach powszechne kiedyś przekonanie, że emigracya jest klapą bezpieczeństwa, za pomocą której społeczeństwo pozbywa się groźnych dla spokoju jego żywiołów. Dokładniejsze jednak zbadanie tego objawu przekonało, że wysiedlają się nie najbiedniejsi wcale, bo ci na podróż nie mają środków, ale tacy włościanie, którzy posiadają jeszcze jakie takie utrzymanie, czują jednak, że nie na długo im wystarczy, że oni albo dzieci ich z biegiem czasu zmuszeni będą pójść na wyrobników. Fakt ten powtarza się i w Galicyi i on jedynie tłomaczy niezrozumiałą dla miejscowych socyologów okoliczność, że największego kontyngensu przesiedleńców dostarczają powiaty, które bynajmniej do najuboższych nie należą. Na dobrobyt pozostałych w kraju włościan emigracya wpływu nie wywiera, bo ziemia przechodzi w ręce szczupłej garstki zamożniejszych, przez co wytwarza się średnia własność, która wymaga już współudziału najemnego robotnika. Ilość gospodarstw włościańskich, przenoszących 50 morgów, dochodzi teraz w Galicyi do 6,000.

Dla każdego sumienniejszego spostrzegacza jest więc emigracya włościan galicyjskich faktem w dzisiejszych warunkach koniecznym, zewnętrznym objawem choroby nurtującej ciało społeczne. Zapobiedz jej można jedynie przez usunięcie wywołujących ją przyczyn; przez reformy, sięgające do rdzenia obecnego ustroju ekonomicznego. Ale to już inna sprawa. Pojmujemy jednak tych, którzy pragną prądowi emigracyjnemu przeciwdziałać, osłabić go albo skierować na nowe tory (np. do wschodniej Galicyi); pojmujemy naiwną wiarę kaznodziejów, wzywających chłopa w imię świętych, obywatelskich obowiązków do pozostania w ojczystym kraju i nie mniej naiwne przekonanie zwolenników rygoru, którzy sądzą, że dosyć krzyknąć: nie wolno! i kwestya rozwiązana. Są to półśrodki niewinne, ale gdyby nawet były skuteczne, według naszego zdania węzeł sprawy nie leży wcale w powstrzymaniu emigracyi. Nie tyle wysiedlenie samo przez się jest złem, zwłaszcza, że nie prowadzi za sobą bynajmniej jak w Poznańskiem napływu obcej ludności — ile groźnym jest stan rzeczy, który je wywołuje. Widzimy w nim wskazówkę, wzywającą do gruntownego zbadania przyczyn, których uświadomienie sobie jest pierwszym, niezbędnym warunkiem ich usunięcia...

Oprócz garści frazesów prasa galicyjska nic więcej nie zrobiła dla wyświetlenia kwestyi a główny organ stańczykowskiej kliki poszedł jeszcze dalej i rozwiązał ją prawdziwie po błazeńsku. Dla wykazania, że sprawa ta niema bynajmniej ekonomicznych przyczyn, *Czas* wymyślił całą teoryę etnograficzną. Oparty na fakcie, że ruch emigracyjny ogranicza się przeważnie na jednym pasie kraju, mianowicie miejscowości między Tarnowem, Krosnem i Rzeszowem, odmawia on ludności tych okolic słowiańskiego pochodzenia i tem objaśnia popęd jej do wysiedlania się. Naturalnie dla lepszego uzasadnienia tego wybiegu ma on pod ręką odpowiednią powagę — Szujskiego, który nie dość, że za życia wiedzą swoją jak płaszczykiem pokrywał głupotę i niecnoty partyi, niema spokoju w grobie i urokiem swego imienia bronić musi nawet po śmierci nieudolnych swych zwolenników. Owi t. z. „głuchoniemcy" okazują się nawet, bodaj czy nie potomkami tatarskich jeńców, oni to, którzy nie zachowali ani w mowie ani w stroju żadnego wybitnego typu wszystkiemu są winni. Za czasów Meternicha nazywali sami siebie „cesarskimi," urządzili rzeź 1846 r. a teraz, przez złośliwość zapewne, emigrują dlatego tylko, żeby w złem świetle przedstawić

---

³)

## Wspomnienia o Heinem.

### IV.

Publiczność niemiecka często zapytywała i zastanawiała się nad przyczynami tego hybrydycznego małżeństwa szydercy, złego ducha, Henryka Heinego, należącego zresztą do jednej z pierwszych rodzin arystokratycznych niemieckich i pięknej chłopki belgijskiej, albowiem Matylda była belgijką i prawdopodobnie pilnowała indyków w swej wiosce, z której wyszła, nie nauczywszy się ani pisać, ani czytać. Odpowiem na to. Ja tylko jeden znam tę tajemnicę, a wyjawiła mi ją wobec męża sama pani Heine. Pan Seuffert, podówczas korespondent paryski *Gazety augsburskiej*, i ja wieleśmy się przyczynili do tego małżeństwa w epoce pojedynku Heinego z pewnym panem Straussem, który właśnie poślubił panią Wohl, rozwódkę, najszczerszą przyjaciółkę Ludwika Boernego i którego Heine w jednym z artykułów nazwał: *osłem rogatym* (jeszcze uprzedzam wypadki). W tem małżeństwie z musu tkwiła tajemnica. Bez niej, pomimo swej miłości dla Matyldy, Heine nigdyby jej nie był poślubił!

W ciągu lat całych mieszkał on zimą w Paryżu, latem—w Montmorency z Teofilem Gautier i Alfonsem Royer, którzy, podobnie jak on, żyli po małżeńsku każdy ze swą wybraną pięknością. Nigdy natura nie stworzyła trzech piękniejszych istot, niż te trzy metresy trzech literatów, wydających od 6 do 10 tysięcy franków rocznie, a niemających nigdy ani grosza. Dzisiaj każdą z tych gracyj — niewątpliwie były piękniejsze od trzech gracyj klasycznych, które zresztą zawsze mi się wydawały miernemi — utrzymywałoby naraz czterech sportsmanów, każda miałaby karetę o ośmiu resorach, pałac i poczet lokajów, a imiona ich obiegałyby z kolei wszystkie dzienniki. W owym czasie żyły one skromnie ze swymi kochankami—pani Gautier miała małego chłopca—w mieszkaniach niedroższych nad 1200 fran. rocznie. Lecz ileż było pięknych i wesołych śniadań w Café Montmartre! Kotlet po prowansalsku był wtedy w modzie, bo jak wszystkie rzeczy, kuchnia ma także swoją modę. Ktoby dziś jeszcze zniósł na śniadanie w Café Cardinal ryż na mleku? Zjadano dwa tuziny ostryg z Soternem, nie drogim w owe czasy, 8 fr. butelka, ostrygi—60 cent. tuzin, kotlet po prowansalsku mocno naczosnkowany, ciastko, ser Brie — oto i wszystko! Ale co za wesołość, co za oddanie się jej! Balzac, raz lub dwa, przyszedł uczestniczyć w tych śniadaniach, zawsze z obowiązkowym kotletem prowansalskim, którego przepis zaginął w dzisiejszych naszych wielkich restauracyach, podobnie jak i przepis na karpia w sosie z wina białego—ulubioną potrawę Heinego i Gautiera. Gdy bardzo było gorąco, pito napój odświeżający, przygotowany z piwa, lodu, soku cytrynowego, znacznej ilości cukru i pomarańczy! Matylda nie znała się nic na kuchni — rzekłbyś, że zrodzona była w zamku—ale jeść umiała dużo. Połknąwszy tuzin ostryg, zjadała na śniadanie dwa befsztyki, wypijała półbutelki wina z narażeniem się na podochocenie, jakkolwiek nie upijała się nigdy—jedna z przyczyn otyłości, której uległa w trzydziestym piątym roku życia, przy zachowaniu wszakże najzupełniejszem piękności. Zauważyłem wraz z Karrem, że kobiety, które dużo jadają, nie są kochliwe i nie zachowują porządku. Nie znaczy to, aby pani Heine hołdowała obżarstwu: jej uczty domowe były patryarchalnie proste. Składały się z ryby, kawałka cielęciny lub szynki, sałaty i sera. Ale te kawałki były duże i soczyste, a pani Heine raczyła się niemi więcej, niż jej mąż, który miał podniebienie delikatne i przekładał Sotern nad szampana, bez względu na jego pochodzenie. To też wolał on śniadać i obiadować w restauracyi, niż w domu. Pani Heine zresztą oszukiwała go na wszystkich większych zakupach żywności dla domu. Często wzywała mię na świadka, ma się rozumieć, z góry

stańczykowską gospodarkę. Naiwny socyolog zaznacza, że miejscowość ta nie należy ani do najgęściej zaludnionych, ani do najbiedniejszych, dlatego właśnie stamtąd lud ucieka, dodamy, bo ma jeszcze za co odbyć podróż. W powiatach tych cena robotnika jest najniższą a zapotrzebowanie ziemi największe, szczególnie w powiecie jasielskim, w którym, jak powiada p. Skrzyński, (*Gospodarstwo krajowe w Galicyi*) dzierżawy pojedyńczych parcel wzrastają z każdym rokiem. Niefortunne wspomnienie 1846 r. należy do argumentów, które zwracają się przeciw autorowi. Jeżeli w tych okolicach bunt chłopski był najkrwawszym to dowodzi tylko, że tu właśnie ucisk ekonomiczny stał się najdotkliwszym. Ale żadne dowody nie przekonają tych, co przekonanymi być nie chcą; dla nich prąd ten pozostanie zawsze objawem miejscowym, a przyczyną jego będzie etnograficzna właściwość tych nieszczęśliwych „głuchoniemców“ nie mających przywiązania „ani do ziemi,“ która ich wyżywić nie może, ani „do tradycyi“ uświęcającej taki stan rzeczy...

Wygodna ta teorya pozwala spać spokojnie krakowskim ojcom narodu i uwalnia od zgryzot ich sumienie. A zresztą, alboż oni je mają?

*J. L. P.*

---

## CO — I JAK — W SOCYOLOGII.

---

II.

Po wytknięciu celu i zadania socyologii, zastanawia się H. Spencer nad metodą jej badań, albo raczej nad tem, jak metody umiejętne stosować do zagadnień społecznych. Odpowiedź na to pytanie stanowi najważniejszą i najbardziej pouczającą część dzieła. Tu bowiem miał Spencer sposobność zapoznać czytelnika z wielu zasadniczemi siłami i czynnikami życia społecznego, a tem samem odsłonić mu część podstawowych prawd; zużytkował nadto autor tyle materyału, poruszył i rozebrał (często zbyt rozwlekle) tyle szczegółowych zagadnień, że w krótkiem sprawozdaniu, możemy dać zaledwie słabe pojęcie o bogactwie tej części *Study of Sociology*.

Metodologiczne trudności socyologii są i liczniejsze i cięższe do przezwyciężenia, niż wszystkich innych nauk; i trzeba je dobrze zrozumieć, ich doniosłość dokładnie ocenić, aby nawet z gruntowną znajomością metod umiejętnych przy stosowaniu ich do badań socyologicznych nie wpaść na manowce i nie uledz pozorom prawdy. Trudności te wynikają i z samego przedmiotu badania i z warunków obserwacyi i ze stosunku obserwującego do przedmiotu.

Pomiędzy pierwszemi dwiema grupami trudności linia demarkacyjna nie da się przeprowadzić ściśle. Przedmiot bowiem badań socyologicznych posiadamy w małej tylko cząstce z bezpośrednich spostrzeżeń własnych, przeważnie zaś ze świadectw obcych; stąd też ów przedmiot przedstawia się uwadze socyologa tak, jak się odbija w umyśle świadczącego. Najważniejszemi trudnościami tego rzędu są: rozproszenie zjawisk społecznych w przestrzeni i czasie, nadzwyczaj rzadkie wypadki współmierności i wreszcie niepewność świadectw historycznych.

Każdemu wiadomo, jak trudno wyrobić sobie prawdziwe pojęcie o cechach moralnych i umysłowych, stopniu ukształcenia, charakteru i kierunków działalności jakiejś okolicy; dlatego też o życiu pewnego narodu, wziętego w całości, mamy po większej części niejasne i mało wiarogodne domysły. Pokrewną, lecz większą jeszcze trudność przedstawia rozproszenie materyału w czasie. Jak baczną pod tym względem uwagę powinien zwracać socyolog przy ocenie czynników i faktów społecznych, pojmiemy, jeśli uprzytomnimy sobie, że już w rozwoju życia jednostkowego przyczyna i skutek rozdzielone są między sobą wielkimi okresami czasu i że nadzwyczaj trudno przewidzieć oddalone następstwa idących po sobie wydarzeń. O ileż większą musi być ta trudność odnośnie do życia narodu, które zapełnia okres stokroć dłuższy, w którem przeto każdy nowy czynnik trwa stokroć dłużej i w stokroć różne wchodzi zawikłania. Tu żaden fakt nie wyczerpuje się w bezpośrednich skutkach, lecz pozostaje stale działającą siłą, wpływającym w pewnym stopniu na cały bieg życia narodowego, który jest wypadkową wszystkich sił społecznych. Dlatego też o kierunku pewnej akcyi zbiorowej niepodobna nie orzec przez zestawienie z sobą dwóch jej blisko siebie leżących skutków; dopiero obserwacya bardziej oddalonych od siebie epok jej rozwoju może nam dać właściwe wskazówki.

Jeżeli już dwie poprzedzające właściwości materyału socyologicznego utrudniają wykrycie związków przyczynowych między zjawiskami, to brak między niemi współmierności trudność tę jeszcze powiększa. Rzadko zdarzają się w życiu narodów wypadki, któreby można z całą słusznością zestawić i z sobą porównać dla wyciągnięcia usprawiedliwionych wniosków o przyczynowej zależności objawów. Porównywanie różnych osobników jednego rodzaju między sobą lub różnych rodzajów jednego gatunku, będące tak ważnym środkiem metodologicznym badania ścisłego, mało ma warunków powodzenia w tej dziedzinie. Społeczeństwa bowiem przedstawiają tak wielkie między sobą różnice, iż niepodobna je uważać za osobniki kilku różnych rodzajów; każde z nich raczej stanowi odrębny. To też przez zestawienie różnych społeczeństw ze sobą niepodobna wydzielić cech zasadniczych od przypadkowych; a wykryte tą drogą dane socyologiczne są tak liczne i różnorodne, iż trudno ująć je dokładnie w odpowiednie kategorye.

Niepewność świadectw historycznych stawia również na każdym kroku wielkie przeszkody badaniom socyologicznym, zważywszy, że największa część materyału — jak rzekliśmy—płynie z tego źródła. Przed zużytkowaniem go. należy więc ocenić ze względu na jego wiarogodność i do właściwej sprowadzić miary, zbadawszy, w jaki sposób ustrój umysłowy i uczuciowy świadka wpływa na sfałszowanie prawdy. Naturalnie, że ile jest różnorodnych świadków, tyle też różnorodnych zboczeń od prawdy historyczne źródła w sobie zawierają. Można wszakże w tej masie indywidualnych znamion wykryć i pewne zasadnicze cechy, pewne powszechne skłonności umysłu i uczucia, stale w oznaczonym kierunku działające. Stąd też można przeszkody tej natury ująć w pewne kategorye. Ze wskazanych przez Spencera za najważniejsze uważamy: automorfizm, t. j. ocena ludzi według naszego własnego duchowego ustroju, skłonność do przeistaczania rozumowych wniosków na obserwowane fakty oraz nierachowanie się z „moralną perspektywą.“ Dwie pierwsze właściwości każdemu są zrozumiałe i dlatego je tylko zaznaczam, jakkolwiek pouczającą byłoby rzeczą rozpatrzeć kilka przykładów ich wpływu na rozumowanie socyologiczne. „Moralną perspektywą“ zaś nazywa Spencer tę cechę umysłu ludzkiego, wskutek której wypadki bliskie lub niedawne przedstawiają się nam w rozmiarach stosunkowo większych, niż wydarzenia da-

---

mię o tem uprzedziwszy. Rachowała mu 150 fr. za drzewo i węgiel, gdy w rzeczywistości wydała tylko 50, nadebraną zaś setką spłacała modniarkę. Heine nie zawsze dał się łapać na te matactwa domowe. Swemi małemi, przenikliwemi oczami spoglądał na mnie, uśmiechając się, podczas gdy żona jego wybuchała śmiechem; ale płacił w duiu, w którym miał pieniądze. Niewątpliwie byłoby lepiej dla niego, gdyby swoją żonę był uczynił panią kasy, lecz nie posiadała ona rzeczywiście zmysłu porządku i gdy miała pieniądze, można jej było pochlebstwem wszystkie wyciągnąć. Łatwowierna, nieraz padała ofiarą przelotnych znajomości z osobami, które udawały jej przyjaciółki, w rzeczywistości zaś ją okpiwały.

Heine przybył do Paryża po rewolucyi lipcowej, odbywszy kilka podróży po Włoszech i Anglii, albowiem wszędzie czuł się lepiej, niż w swej niewdzięcznej ojczyźnie, jakkolwiek przehandlował judaizm swój na protestantyzm. Znaczy to tylcż. co zamienić cybulę na czosnek. Jak sądzę, w r. 1832, przechadzając się po pasażu Choiseul, ujrzał poraz pierwszy Matyldę w sklepie rękawiczniczym. Była ona podówczas w całym blasku piękności dziewiczej, bo miała dopiero lat osmnaście. Jeśli się nie mylę, służyła u jednej z krewnych, która sprowadziła ją z Belgii dla przywabiania do sklepu kupujących. I rzeczywiście, sklep nigdy się nie opróżniał; najbardziej elegancka młodzież napływała tu dla... pięknej panny Matyldy. Heine miał lat trzydzieści. Raczej niski, niż wysoki, był jednak ładnym chłopcem. Nadewszystko posiadał rzadką dystynkcyę, a jakkolwiek był przywódcą demokratycznym *Młodych Niemiec* ówczesnych, nie miał w sobie nic demokratycznego—arystokrata z ducha i ciała. Oczy posiadał małe, lecz spojrzenie przenikliwe, bystre, błyszczące dowcipem. Jego nos grecki z rozwartemi i poruszającemi się nozdrzami nie zdradzał wcale pochodzenia żydowskiego, tem mniej jeszcze usta, po których przewijał się zawsze uśmiech ironiczny, który szybko się zmieniał w znak dobroci. Jego czoło szerokie i wysokie ocienione było lasem włosów ciemnych, które opadały mu na ramiona. W zaniedbanym jego ubiorze odbijała się pewna elegancya. Jedynie tylko chód jego wlokący się znamionował żyda. Ówczesny żyd niemiecki, który dopiero co opuścił *ghetto*, nie mając ani pociągu, ani też nie doznając przyjemności w ćwiczeniach gimnastycznych młodzieży uniwersyteckiej, zwykł był chodzić krokiem wolnym, ciężkim, prawie przytłumionym—rzekłbyś, że pragnął jak najmniej sobą zająć miejsca i przejść, nie będąc spostrzeżonym. Zbliska twarz Heinego, bladości matowej, bez brody, miała w sobie coś anielskiego; gdy mówił, z łatwością to *coś* przybierało wyraz demoniczny. Uśmiechał się nawet prawiąc złośliwości swym nieprzyjaciołom. Nigdy go nie widziałem w gniewnem usposobieniu, i dziś, gdy go już niema, robi na mnie wrażenie zjawiska z poza grobu, powiem więcej — ducha wywołanego przez spirytystę. W młodości swej musiał być ulubieńcem wielu kobiet, pomimo swej nieposkromionej ironii i wiecznego fruwania od jednej piękności do drugiej. Jakkolwiek płochym bywa mężczyzna i zwycięzkim względem ładnych kobiet, trafia się zwykle pewna, która mści inne, podcina orlu skrzydła i do łapy mu przywiązuje sznurek. Względem Heinego była tą mścicielką Matylda.

Heine zalecał się do pięknej rękawiczniczki, która go wszakże nie wyróżniła z pośród swych licznych wielbicieli. Napróżno usiłował jej wytłomaczyć, że był wielkim poetą niemieckim i że niemieckimi wierszami opiewać będzie jej wdzięki i powaby; Matylda odpowiadała mu tylko jednym z tych złośliwych uśmieszków, który zdawał się mówić: poeta niemiecki, ile zarabia? Heine wówczas zwrócił się do jej opiekunki.

Nie wiem, czy sam się podjął tych drażliwych układów, czy też posłużył się którą z licznych stręczycielek w Paryżu. Bądź co bądź, układy doprowadziły do celu. Matylda była bardzo nieszczęśliwą u swej opiekunki, która jej codziennie robiła niezbyt

wniejsze i od nas odleglejsze. To prowadzi powszechnie do błędnej oceny jednych i drugich. Pierwsze wydają się nawet wówczas, gdy są nie nieznaczące, ważniejszemi od drugich, chociażby te w rzeczywistości miały daleko donioślejsze znaczenie.

Widoczna, że trudności, jakie z tych powodów materyał historyczny nauce społecznej stawia, są natury podmiotowej. Podobnież podmiotowemi są inne, spowodowane błędami, wynikającymi z wpływu uczuć na sądy ludzkie. Nigdzie bowiem rozumowanie nie jest w takim stopniu zależne od antypatyi, sympatyi i wogóle całego uczuciowego nastroju, jak w dziedzinie społecznej. Z całą słusznością powiedzieć można, że w tych kwestyach sądy naprzód wydaje uczucie, a rozumowanie potem dopiero przychodzi mu w pomoc dla odszukania teoryi, dla nadania cechy bezstronności z góry wydanemu wyrokowi. Poniekąd nawet najobszerniejsze socyologiczne rozumowanie, najbaczniej rachujące się z tym szkopułem objektywności, nie może uniknąć zupełnie tego teroryzmu afektów. Jest to konieczność, wynikająca ze stanowiska, jakie zajmujemy w sądach o sprawach społecznych, stanowiska, którego w żadnej innej umiejętności nie spotykamy. Tylko w socyologicznych bowiem badaniach znajdujemy się w tem położeniu, iż sami należymy do zbiorowiska, którego istotę chcemy zrozumieć. Wszystkie nasze uczucia i myśli, wszystkie czynności, słowem cały nastrój duchowy zależny jest od tego otoczenia. Wprawdzie każdy z nas oddziaływa na swoje społeczeństwo, ale z drugiej strony oddziaływa tylko tak, jak go jego społeczeństwo uposażyło; stąd ogólny nastrój uczuciowy każdego obywatela harmonizuje z resztą współobywateli, a odpowiednio do tego muszą się układać i jego społeczne poglądy. Od tych prądów uczucia, przenikających całe społeczeństwo i stanowiących ów kit, który organizmowi zbiorowemu na jego składowe części rozpaść się nie pozwala, najrozważniejszy myśliciel nigdy nie będzie w stanie zupełnie się wyzwolić. To są bowiem realne siły społeczne, którym każdy bezwiednie ulega. Pięciu z tych ogólno-społecznych afektów, jako najważniejszym, poświęca Spencer oddzielne rozdziały, śledząc za ich odbiciem w poglądach, każdy z nich bowiem we właściwy sobie sposób kieruje socyologicznem myśleniem i właściwe sobie stwarza uprzedzenia, mianowicie: przesądy wychowania, patryotyzmu, stanowe, polityczne i teologiczne.

Mówiąc o uprzedzeniach wychowania, ma H. Spencer na myśli najpotrzebniejsze jego wyniki, t. j. pewne kierunki uczucia i zastosowanego do nich myślenia, które w nas od dzieciństwa rodzice, szkoła, kościół itd. wpajają i rozwijają. Biorąc bowiem rzeczy najogólniej, niema w istocie przesądu, któryby nie był nabytym. Od wychowania więc w najobszerniejszem pojęciu tego słowa oddziela Spencer wychowanie w ściślejszem jego znaczeniu, a uprzedzenia, wynikające z niego, określa mianem religii miłości i religii nienawiści; nie dlatego, żeby je religijnemi nazywano, ale że są to kodeksy postępowania, mające sankcyę nadprzyrodzoną. Obie te religie przeciwstawiają się sobie wzajemnie, a obie dziś wyznajemy bezwiednie. W obecnym stanie cywilizacyi nie można jednej z nich usunąć w zupełności, chociaż ludzkość posiadała pierwotnie jedną tylko religię, a w przyszłości — jak to Spencer przewiduje — znów jednę posiadać będzie. Dziś muszą istnieć obie, gdyż odpowiadają dwu różnym grupom potrzeb społecznych, z równą objawiających się siłą. Religię nienawiści podtrzymuje przystosowanie się do potrzeby zachowania społeczeństwa wobec zewnętrznych wrogów, religię miłości — przystosowanie się do wymagań wspólnej pracy współobywateli, opartej na wzajemnej życzliwości i zaufaniu. Oba te wymagania są najistotniejszymi warunkami bytu społeczeństw, co pociąga za sobą konieczność istnienia obu religij. Na całej też drodze, jaką ludzkość w swym rozwoju przebiegała, dostrzegamy dążność do ugody między temi religiami. Układ ten jednak odbywał się zawsze bezwiednie i empirycznie. Dotąd w najucywilizowańszych społeczeństwach kompromis obu wyznań wiary nie jest inny. Wprawdzie dziś kodeks miłości zajmuje „honorowe miejsce;“ w słowach jemu składamy największy hołd, ale czynami naszymi kieruje przeważnie jeszcze kodeks nienawiści. Dziś też ogół nie zdaje sobie sprawy ze społecznej doniosłości i znaczenia każdego z tych przeciwieństw. I dziś więc jeszcze nie posuwa się ludzkość po wypadkowej tych dwu różnych sił, nie kroczy w swych czynach po właściwem *juste milieu*, lecz raz pcha ją przeważnie religia miłości, drugi raz znowu religia nienawiści. Nawet życie każdego prawie obywatela nie przedstawia nam linii, rozwijającej się stale w jednym kierunku, lecz zygzaki to w tę, to w ową stronę, zależne w swej wielkości bądź od przewagi altruizmu w danej chwili, bądź w innej od większego natężenia egoizmu. Do jasnej świadomości, że między temi dwiema sprężynami postępowania powinna się ustalić harmonia, mało jeszcze ludzi doszło, a mniej jeszcze na myśl tę się godzi. A jednak łatwo zrozumieć, że kompromis taki jest konieczny zarówno dla postępowania naszego, jak i dla naszych sądów o sprawach społecznych. Obie religie są, jak widzieliśmy, niezbędne; obie doprowadzone do ostateczności, nie ograniczając się wzajemnie, są niemożliwe nawet w najpierwotniejszym zawiązku społeczeństwa. Z dwoma tak potężnymi czynnikami społecznymi trzeba się rachować w swych sądach. Musimy więc pamiętać, że dwie religie: miłości i nienawiści czynne są na każdym szczeblu cywilizacyi, lecz że ich wzajemny stosunek ciągłej ulega zmianie, podobnie jak i każda grupa zjawisk społecznych przechodzi nieprzerwany szereg zmian; winniśmy zatem pamiętać, że pod wpływem tych sprzecznych afektów ustala się na każdym szczeblu rozwoju pewien właściwy kierunek przekonań społecznych, ale że każdy z tych kierunków jest przemijający tak samo, jak przemijającym jest i dany stosunek obu religij; w końcu powinniśmy pamiętać, że w biegu cywilizacyi widoczne jest dążenie do osłabienia religii nienawiści a do wzmocnienia natomiast religii miłości. Tylko wtedy będziemy w stanie odszukać błędy, które pod wpływem tych afektów do naszych socyologicznych poglądów się wkradły.

Uprzedzenia patryotyczne zbyt są widoczne, żeby potrzeba było obszerniej nad niemi się rozwodzić. Na każdym niemal kroku spotykamy je, w każdej niemal sprawie, w każdym publicznym głosie potęga tego uczucia się odzywa. Patryotyzm płynie co do swej istoty z tego samego źródła, co i egoizm. Sąd nasz o narodzie, do którego należymy, jest odbiciem naszego sądu o nas samych; oburzenie zaś przeciwko narodowi, napadającemu na nasze społeczeństwo, jest odbiciem oburzenia jednostki, której grozi niebezpieczeństwo utraty praw wskutek napaści na cały naród. Stąd też skutki patryotyzmu zarówno w dziedzinie czynu, jak i w dziedzinie myśli są zbliżone do skutków samolubstwa. Ta jednak ważna różnica zachodzi między tymi dwoma objawami duchowymi, że egoizm powszechnie pokla-

---

uczciwe propozycye. Czekała na księcia, któryby ją wywlókł z tej budy i zawsze wprost je odrzucała. Lecz gdy jej powiedziano, że młody poeta niemiecki, pałający do niej miłością, był człowiekiem sławnym i posiadał wuja milionera, Matylda, po odebraniu od Heinego kilkunastu listów z bukietami, zgodziła się na opuszczenie wrzekomej ciotki i przeniesienie się do swego kochanka. Opiekunka przy tej sposobności otrzymała od Heinego trzy bilety po tysiąc franków.

Kolacya weselna odbyła się w restauracyi. Heine przywdział na siebie szaty ślubne, Elizeusz Reclus mógł był uczestniczyć w tej uroczystości. Stąd Heine poprowadził Matyldę do swego poetycznego mieszkania. O świcie Matylda w tym stroju, który potęguje i ujawnia piękność, podniosła się i oto z jakiemi słowy zwróciła się do szczęśliwego swego zwycięzcy. Pani Heine sama, powtarzam, opowiedziała mi tę scenę przed swym mężem:

— Henryku—rzekła—dałam ci wszystko, co uczciwa dziewczyna dać może mężczyznie, którego kocha i czego on zwrócić jej nie może. Jeśli sądzisz, że nie wiem, iż kupiłeś mię, to się mylisz. Jeżeli przystałam na to, żeby być twą metresą, to najprzód dlatego, że z pomiędzy wszystkich mężczyzn, którzy się mnie zalecali, tyś jeden mi się podobał, a następnie, że mi powiedziano, iż niemcy są wierniejsi od francuzów. Ale, kupiłeś mię lub nie, *ja, ja ci się nie sprzedałam!* Dowiedz się zatem, że nigdy ciebie nie opuszczę; bez względu na to, czy mię będziesz kochał lub nie, czy mię poślubisz lub nie, czy mię będziesz maltretował lub nie, nigdy cię nie opuszczę. Słyszysz? Nigdy, nigdy, nigdy!

— Ale nie chcę, abyś mię opuściła — odrzekł Heine, parskając śmiechem. Kocham cię. Gdybym cię nie kochał, czyliż bym uczynił to, co uczyniłem? Kocham cię i kochać będę zawsze!

— A ja—odparła —uczyniłabym to, com dla ciebie zrobiła, gdybym nie kochała? Mniejsza o to. Godząc się na mieszkanie z tobą, powiedziałam sobie: ten i żaden inny i to nazawsze, nazawsze, nazawsze!

— Ależ urządzasz mi scenę—rzekł Heine (w rzeczywistości była to pierwsza). Nigdy nie przestanę cię kochać.

— Czy przestaniesz mię kochać lub nie—odpowiedziała — co do mnie, nie przestanę być twoją żoną, albowiem jestem nią i pójdę za tobą wszędzie.

— A cóżbyś uczyniła—zapytał Heine — gdybym cię opuścił?

— Zabiłabym się u twych stóp!

Heine zapewne odetchnął, bo również dobrze mogła była powiedzieć: zabiję ciebie u mych stóp.

Jakkolwiek wszakże porównałem ją do Maryi Stuart, wola jej była czysto negatywnej natury. Lubiła sceny.

— Po tem—rzekł Heine — chodźmy na śniadanie.

— I codzień, póki żyć będziemy, będziemy śniadali razem. Kiedy sobie raz coś wbiję do głowy, pięćdziesiąt tysięcy mułów tego mi z niej nie wyciągnie. Mówię ci to po raz ostatni, bo więcej nie powtórzę—nie opuszczę ciebie nigdy! Gdziekolwiek pójdziesz, udam się za tobą, chociażby na kraj świata, chociażby do piekieł! Jestem przecież twoją, skoroś mię kupił; lecz i ja ciebie kupiłam, wiesz za jaką cenę, i jesteś moim na całe życie!

Dotrzymała słowa. Nie opuściła go nigdy i nie bezwzględnie nie uczyniła, ażeby ją poślubił. Po upływie wielu lat wspólnego pożycia, gdy jej doniesiono, że Heine ją poślubi, zapewne, była zadowoloną, ale żadnym znakiem nie zdradziła uniesienia lub radości. Zadawalała się tem, że go nie opuszczała i żyła z nim w towarzystwie metres poetów i literatów, nie biorąc nigdy najmniejszego udziału w ich rozprawach artystycznych i literackich i nie łącząc się nawet nigdy z ich kobietami. Nietylko ona się nie nadawała do takiej łączności, ale inne kobiety nie starały się bynajmniej o jej przyjaźń. Czuła się swobodną i znajdowała upodobanie tylko w stosunkach z podwła-

sku nie zyskuje, a zawsze potępienie na siebie ściąga, jeśli jest wygórowany, gdy tymczasem zbytek patryotyzmu nigdy nie wydaje się nagannym. Paradoksalne to na pozór zjawisko objaśnia się tem, że patryotyzm jest uczuciem, łączącem jednostki z całością, przez nie stworzoną, wskutek tego, z biegiem czasu, rosło ono coraz bardziej w siły przez tępienie takich typów ludzkości, które, nie będąc obdarzone uczuciem tem w odpowiedniej mierze, nie zdołały ponosić ofiar dla utrzymania swej całości. O ile jednak patryotyzm, odpowiednio zastosowany, jest zbawiennym dla narodu, o tyle uprzedzenia, które za sobą pociąga, stają na zawadzie sprawiedliwym sądom społecznym. Objawiają się one z jednej strony pod formą przecenienia własnego narodu, a z drugiej jako lekceważenie lub pogarda innych. Nieodzownym skutkiem takiego nastroju uczucia jest fałszywa ocena instytucyj, obyczajów, wiary itd. zarówno naszych, jak i cudzych—wszystko, co nasze, uważamy, jeśli nie za idealne, to przynajmniej jako normalne, wszystko zaś obce przyjmujemy tylko o tyle, o ile do naszego się zbliża. Wprost przeciwnym patryotyzmowi jest antipatryotyzm, w który niejednokrotnie popadają ludzie, chcąc uniknąć ostateczności przeciwnej. I tego afektu wystrzegać się należy; prowadzi on bowiem do błędów odwrotnych, a tem samem nie pozwala wyrobić sobie trzeźwych socyologicznych poglądów. Aby uniknąć w socyologii jednego i drugiego szkopułu, najlepiej nie zestawiać porównawczo obcych narodów z naszym; chociaż i wówczas niepodobna uwolnić się zupełnie od sympatyi i antypatyi, wywoływanych podobieństwem lub przeciwieństwem cudzych instytucyj z naszemi. Usunięcia błędów tej natury możemy oczekiwać tylko w tej odległej przyszłości, w której antagonizmy narodowe w znacznym stopniu osłabną. I wówczas jednak przy sprawdzeniu wniosków socyologicznych trzeba będzie przyjąć w rachubę zboczenia od prawdy, spowodowane patryotyzmem. Zawsze bowiem uczucia i myśli, utrzymujące całość narodową, muszą w wysokim stopniu przenikać jednostki ją składające, jeśli całość ta niema się rozpaść.

(D. n.)

---

## Z Czerwonej Rusi.

*Lwów, 28 stycznia.*

Ruskie partye w Galicyi — sekty. — Praca nad ludem, towarzystwa wstrzemięźliwości, czytelnie itp. — Duchowieństwo i jego usiłowania organizacyjne. — Zjazdy księży i adresy. — Zaniedbanie literatury: czasopismo literackie *Zoria*. — *Biblioteka znakomitych powieści.*

Współczesny stan umysłowy rusinów galicyjskich przedstawia nader ciekawy widok społeczeństwa, które budzi się w całej masie do życia publicznego, w którem jeszcze z mieszaniny różnorodnych składników nie skrystalizowały się silne, różnością interesów i świadomością ich odgraniczone od siebie stronnictwa. Tak zwane w publicystyce „partye“ ruskie są to raczej pewnego rodzaju sekty, kłócące się nieraz o pewne dogmaty, o statystykę ludności lub o pisownię, lecz zgodne z sobą zupełnie w tym zasadniczym punkcie, że jedyne źródło siły rusinów spoczywa w ludzie, dla którego i nad którym pracować potrzeba nieustannie i systematycznie. Pracę tę inteligencya rusińska również nauczyła się pojmować znacznie szerzej i głębiej, niż to miało miejsce np. przed laty dziesięciu, kiedy to jeszcze najpostępowsi z t. zw. „narodowców“ niejednokrotnie wyrażali zdanie, że lud ów jest leniwy i pijany i że na te dwie kardynalne choroby wystarczą dwa kardynalne leki — moralizowanie na temat pracowitości i na temat trzeźwości. Dopiero w drugiej połowie ubiegłego lat dziesiątka zaczęły ogólniej szczepić się przeglądy o potrzebie nie moralizowania, lecz ekonomicznej i duchowej samopomocy za pośrednictwem odpowiednich stowarzyszeń. I powstał na Rusi halickiej powolny zrazu, a im dalej tem prędszy ruch ludowy w tym właśnie kierunku. Zaczęło się od towarzystw wstrzemięźliwości, które wkrótce poprowadziły za sobą zakładanie spichrzów i kas gminnych, a wreszcie czytelni i kramików wiejskich, a gdzieniegdzie i pomniejszych spółek produkcyjnych.

Ruch ten jest bardzo charakterystyczny i bardzo ważny. W wydanej przeszłego roku książeczce „Proświty“ p. t. *Rozmowy w dobrowilskij czytalni* wykazano jego znaczenie i porównano z takimiż ruchami ludu ukraińskiego, jak kozactwo z jego demokratyczno-republikańską organizacyą w Siczy Zaporoskiej i bractwa cerkiewne w XVI i XVII stuleciach, których bardzo poważne resztki dotychczas dochowywały się po wsiach wschodniej Galicyi. Jak wtedy, tak i obecnie, prąd wywołany był trudnymi warunkami życia społecznego i szedł ku stowarzyszeniom na podstawach demokratycznych i autonomicznych.

Chociaż bowiem obecnie pierwszy bodziec dało bez zaprzeczenia duchowieństwo, to przecież nie trzeba zapominać, że pewne zarody i tradycye istniały i przedtem i że ruch ten w bardzo wielu miejscowościach już zupełnie wychodzi z tych ramek, w jakichby chcieli zamknąć go księża.

Szkoda, że nie możemy czytelnikom *Prawdy* podać chociażby przybliżonej liczby stowarzyszeń ludowych, jakie w ostatnich kilku latach pozawiązywały się w Galicyi wschodniej, ani też statystyki ich działalności i rozwoju. *Nowyj Prołom* w jednym z ostatnich numerów obliczył ilość czytelni na setkę; z samych list prenumeracyjnych *Diła* i *Bat'kiwszczyny* możemy przekonać się, że cyfra ta jest prawie o połowę za mała; prócz tego każdy nowy numer tych czasopism przynosi wiadomości o zawiązaniu kilku nowych czytelni w różnych stronach Galicyi. Niektórzy księża, jak np. mieszkający we wsi Strowiatynie (w Żółkiewskiem) ks. Czernecki, zrobili sobie niejako specyalność z zakładania czytelni we wszystkich bliższych i dalszych okolicznych wioskach, nie szczędząc na tę chlubną działalność ani trudu, ani kosztów.

Obok tej ze wszechmiar chwalebnej pracy galicyjsko-ruskiego duchowieństwa pośród ludu widzimy ostatnimi czasy coraz żywsze objawy, świadczące o dążności jego do własnej klasowej organizacyi w celach polepszenia swego bytu. Wiadomo bowiem, że galicyjscy księża greecko-katoliccy są najgorzej uposażeni w całej Austryi, pomimo iż obarczeni rodzinami, dźwigają wiele takich czysto cywilnych ciężarów, których nie ponosi duchowieństwo katolickie. Ich majątek składa się zwykle z budynków parafialnych, stawionych kosztem gmin i w małej części także kosztem obszarów dworskich, dalej z gruntów t. z. „erekcyonalnych,“ których pochodzenie i rozmiar są bardzo różne (od kilku do kilkuset morgów), następnie z t. z. „jura stolae,“ to jest opłat za chrzciny, śluby, pogrzeby i tym podobne praktyki religijne, a wreszcie

---

dnymi, ze sługami, przy których pomocy załatwiała *swoje rzeczy*, jakkolwiek nigdy nie miała tajemnicy, którą należałoby zachować, ani nie potrzebowała milczenia, któreby winna była opłacić. W ciągu lat piętnastu znałem jedną tylko jej przyjaciółkę, panią Arnaut, dyrektorkę Hipodromu. Czy była zazdrosną? Nie! bo tolerowała u siebie, przy swoim stole metresy męża, co prawda, mniej ładne, niż ona, lecz szczerze zazdrościła każdej wyższości w innej kobiecie. Czy wiedziała, że była gminną, pospolitą pomimo uśmiechu, swych zębów i nieporównanego biustu? Gdzież istota ludzka, któraby znała sama siebie, zwłaszcza swoje niedostatki, wady? To tylko olerzało, że nie umiała się ubierać. Jakkolwiek doskonale posiadała kształty, nie zdołała być elegancką nawet w najpiękniejszych tualetach. Była belgijką, nie zaś paryżanką. Prawdziwie ponętną była tylko w peniuarze. Czy Heine miał pod tym względem wątpliwości? Nie mówiłem z nim o tem nigdy, lecz z różnych słówek, które mu się wyrywały, mogłem wnioskować, że jakkolwiek kochał ją namiętnie, nie cenił jej nawet podług jej wartości. Pewnego dnia odezwał się do mnie na ulicy:

— Podaj pan ramię Matyldzie. Francuska łatwa jest do uwiedzenia!

Innym razem rzekł do mnie — wtedy nie mógł już wychodzić:

— Matylda jest na balu. Sprawiłem jej nową suknię. Niema niebezpieczeństwa, aby ją sobie zmiąć dała.

Powierzał mi ją w każdym czasie i przy każdej sposobności, a ona przyjmowała moją rolę opiekuna, jakkolwiek byłem o piętnaście lat młodszym od jej męża. Nie przedstawiałem niebezpieczeństwa. Miałem zawsze niezmierny zaszczyt być wobec dam światowych człowiekiem złego powodzenia. Co zaś do nierządnicy, chociażby była najpiękniejszą i chociażby posiadała geniusz Racheli, uważałem ją zawsze za owo drzewo trujące, na które spogląda się w przejściu, z którego można, ściśle rzecz biorąc, zerwać kwiat i rzucić w rynsztok, ale pod którego cień chronią się tylko głupcy, szaleńcy i hołysze.

Owóż w epoce pojedynku z p. Strausem, kilku przyjaciół szczerych i fałszywych namówiło Heinego do uregulowania stosunku z Matyldą i do formalnego poślubienia jej przed starciem. Bawiłem podówczas w Niemczech, krusząc kilkakrotnie w obronie jego kopie, albowiem atakowano go na prawo i na lewo. Napisałem do niego długi list, w którym przypomniałem mu scenę nocy weselnej. Wiesz pan dobrze — pisałem — że nie opuści cię, postąp zatem, jak Dumas z Idą—ożeń się. Jest to jedyny środek „odżenienia się.“ Matylda długo brała mi za złe tę radę przyjacielską, bo Heine nie miał nic pilniejszego do zrobienia, nad odczytanie jej mego listu. Kiedym wrócił do Paryża, był już żonatym od dni piętnastu. Wobec swej żony powiedział do mnie:

— Ten postrach, pani Wohl, srodze się na mnie zemściła. Dzięki jej ożeniłem się, ale i ja będę umiał się zemścić. Wychodząc z kościoła zrobiłem testament. Zapisuję wszystko, co posiadam, mojej żonie, lecz pod jednym warunkiem: aby wyszła za mąż po mojej śmierci. Chcę być pewnym, że pozostanie co najmniej jeden człowiek na ziemi, który będzie żałował codziennie mej śmierci, wołając: Dlaczego umarł ten biedny Heine? Gdyby niebył skończył, nie posiadałbym jego żony!

Matylda, śmiejąc się, odparła:

— Naprożno silisz się na dowcip, wiesz dobrze, że żywego lub umarłego nie opuszczę ciebie; chociażbyś skonał jutro, nigdy już nie wyjdę za mąż.

Dotrzymała słowa. Heine, żeniąc się, postawił tylko jeden warunek: żona musiała mu przyrzec, że nigdy nie będzie spowiadała się przed księdzem. Jeśli ci koniecznie potrzeba spowiednika, weź małego Weilla; będzie równie, jak ty, dyskretnym.

(D. c. n.)

z „dodatku kongrualnego,“ wypłacanego przez rząd z funduszów religijnych w kwocie zwykle nieprzenoszącej 200 guldenów. Cała dotacya jest obliczona na 360 guld. rocznie. Obecnie, przy regulacyi podatku gruntowego z r. 1880, stan ten pogorszył się jeszcze, gdyż dużo księży musi od gruntów erekcyonalnych opłacać podatki daleko większe. niż wynosi cała „kongrua.“ Dodać do tego należy jeszcze niektóre zastarzałe a z obecnym stanem rzeczy zupełnie niezgodne zwyczaje, jak np. prawo patronatu, polegające na tem, że dziedzic, który dla utrzymania parocha bardzo mało się przyczynia, ma prawo „prezenty,“ podczas gdy gmina nie posiada w tej sprawie żadnego głosu. Dalej nie można pominąć także kilkakrotnych usiłowań władz administracyjnych w celu przywłaszczenia sobie nadzoru nad religijnymi obrzędami i formami ruskiego kościoła *).

Wobec tego wszystkiego nie dziw, że duchowieństwo ruskie musi poczuwać coraz żywiej potrzebę organizacyi i pomocy własnej. Wynikiem tej dążności był zeszłotygodniowy zjazd we Lwowie, w którym uczestniczyło około 300 księży, bądź prywatnie, bądź jako delegowani z dekanatów obu dyecezyj. Obradowano nad kongruą z adresami do cesarza i papieża, w których księża, wyrażając swoją uległość władzom duchownym i świeckim, upraszają o polepszenie swego bytu. Zjazd ten był najgłośniejszym faktem życia społecznego rusinów galicyjskich w nowozaczętym roku. Szkoda jednak, że jego członkowie niejasno pojmowali cele i drogi do nich wiodące. Że prośbami i zapewnieniami o uniżonej uległości nikt w świecie nie zdobywa sobie lepszego bytu, to przecież powinni byli wiedzieć księża ruscy, uchwalając owe adresy. W tym kierunku zjazd zapewne nie odniesie żadnych praktycznych rezultatów. Ale bo też jego inicyatorowie, zdaje się, mierzyli gdzieindziej. Inicyatorami zaś byli: ks. biskup Sembratowicz, obecny administrator archidyecezyi lwowskiej i stojąca przy nim ultramontańska klika z jezuitą patrem Riedlem na przedzie. Tym przewielebnym chodziło o cele, niemające nic wspólnego z autonomią i podniesieniem kościoła unickiego, lecz przeciwnie ks. Sembratowiczowi o to, by adresy uchwalone na zborze posłużyły jako votum zaufania od całego duchowieństwa dla niego, jako stopnie, po których by mógł wstąpić na stolicę arcybiskupią; garstce zaś ultramontanow—o to, by w adresie do papieża wimieniu całego duchowieństwa gr. kat. wyrazić takie poglądy i uczucia, któreby umożliwiły jak najprędzej i zupełne zniweczenie samoistności unickiego kościoła, wprowadzenie celibatu do obrządku greckiego i całkowite jego zlatinizowanie. Wprawdzie ani jeden, ani drugi plan nie udał się całkowicie, lecz mimo to księża ruscy, zgodziwszy się w zasadzie na podanie adresów, chociaż i nie tak uniżenie i ultramontańsko brzmiących, jak to było zamiarem inicyatorów, pokazali, że nie umieją jeszcze stawiać silnej opozycyi i że nie nadeszła jeszcze dla nich pora uorganizowania się w zwartą i silną przez swą jedność falangę.

Jeżeli kiedykolwiek słusznem było zdanie, że całe umysłowe życie rusinów galicyjskich weszło w „politykę,“ to najsłuszniejszem jest ono w chwili obecnej. Obok kilkunastu społeczno - politycznych gazet (z tych 4 wychodzących za kaucyą, t. j. raz lub kilka razy na tydzień), utrzymuje się na widnokręgu ruskim w Galicyi tylko jedno pismo literackie *Zorja*, dwutygodnik pod redakcyą prof. Emila Partyckiego. Rok poprzedni zaznaczył pewien zwrot w kierunku tego organu: od idealistycznego dyletantyzmu ku zdrowemu realizmowi w powieści i poezyi i do pewnego radykalizmu w pracach naukowych. Między innemi umieściła *Zorja* w poprzednim roczniku obszerną powieść „Zachar Berkut,“ malującą na podstawie podań ludowych i tragedyj historycznych „obraz gminnego życia podkarpackiej Rusi“ w epoce książąt. Dalej drukowała obszerne artykuły „Niewola kobieca w ruskich pieśniach ludowych“ i „Potop świata“ Iwana Franka, jako też wielce ciekawy artykuł samego redaktora „Objaśnienie ciemnych miejsc w *Słowie o pułku Igora*,“ którego wnioski, jeżeli przez umiejętną krytykę zostaną sprawdzone, rzucą wiele nowego światła na całą przeszłość Rusi. W dwu dotychczas wydanych numerach nowego rocznika *Zori*, obok krótkich nowelek Iwana Franka, p. t. „Wilgelm Tell“ i „Schön-Schreiben“ rozpoczął się przedruk jego dawniejszej powieści „Boa Constrictor“ i druk obszerniejszego artykułu: „Polskie powstanie w Galicyi 1846 r.“ Niwę poezyi uprawiają pp. Hrabowicz, Maślak i idąca poniekąd w ślady Konopnickiej młoda poetka Julia Sz.

Z wydawnictw książkowych na większą uwagę zasługuje *Biblioteka znakomitszych powieści*, wychodząca przy gazecie *Diło*. W niej przeszłego roku między innemi pomieszczono śliczną powieść A. Daudeta „Fromont młodszy i Risler starszy,“ a obecnie rozpoczął się druk „Złotego człowieka“ Jokaya. Przygotowywa się też przekład znakomitej powieści Spielhagena: „In Reih und Glied.“

*Myron.*

---

*) Przypominam tu sławną wojnę żandarmów, starostów i władz autonomicznych przeciw ruskim krzyżom trójramiennym, dalej rozporządzenie tłumackiego starosty Bogusza, poruczające obszarom dworskim (w wielkiej części owego powiatu — żydom!) czuwać, ażeby księża gr. kat. zachowywali swój obrządek w czystości!

## Z NIEMIEC.

*Heidelberg, styczeń 1884.*

Niebezpieczeństwo ze strony polaków. — Wodór przestał być nieposłusznym. — Jubileusze chemiczne. — Nowe dzieła pp. Caro i Löwenfelda. — Pan Ribbach i malarstwo nasze. — Nowe czasopisma: niemieckie, międzynarodowe, czeskie.

Nie ulega już wątpliwości, że zaczynamy być groźni sąsiadom naszym. Niedawno jakiś „Austriacus“ drżącem z przerażenia piórem opisał niebezpieczeństwa, na jakie Austryę narażają rodacy nasi istnieniem swojem w obrębie cesarstwa, sejmu i ministerstwa rakuskiego. Kto chce poznać bliżej ową „polnische Gefahr,“ niech czyta 1 numer tygodnika *Gegenwart*, niech czyta, dziwi się, cieszy lub smuci, wierzy lub nie, stosownie do swego poglądu lub usposobienia. Faktem jest, że „o nas gadają,“ a to pochlebia dumie (czy próżności?) naszej, więc przedewszystkiem cieszmy się. Pewna dama mówiła: „niech sobie dobrze czy źle o mnie gadają, byle gadali.“

Lecz słuszniej zapewne i szczerzej cieszyć się możemy rozgłosem, który niezawodnie zjedna sobie odkrycie fizyczno-chemiczne, dokonane kilka dni temu przez prof. Wróblewskiego w Krakowie. Udało mu się po raz pierwszy ucieleśnić, że tak powiem, wodór, oco nadaremnie dotychczas kusili się chemicy i fizycy całego świata. Szczegóły o tem znajdzie czytelnik w pismach codziennych.

Dziwny zbieg okoliczności! Przed paru tygodniami prof. A. Bauer wydał w Wiedniu książeczkę „Chemia i alchemia w Austryi“ (*Chemie und Alchemie in Oesterreich*, 1883) na pamiątkę dwóch jubileuszów najważniejszych wypadków w dziejach tej nauki: założenia pracowni chemicznych w Altdorfie (o parę mil od Norymbergi, mieście niegdyś uniwersyteckiem) i Sztokholmie w r. 1683. oraz odkrycia składu wody (przez anglików Cavendisha, Watta i Priestleya) w r. 1783. Przybywa trzy, w sto lat okrągłych, nowe, równie ważne odkrycie i również, dotyczące wody. Gdyby Bauer trochę zaczekał, mógłby dodać datę dla przyszłego trzeciego jubileuszu, przyczem nie omieszkałby zupewne rodaka naszego skapitalizować na rzecz Austryi.

Mówią tu i piszą nietylko o teraźniejszości, ale i o przeszłości naszej. Oto mam przed sobą parę nowych prac panów Caro i Löwenfelda. Pierwszy w niewielkiej książeczce opisał głośne dzieje Halszki z Ostroga. czerpiąc nieco nowego światła z nieznanych dotąd dokumentów czeskich. Drugi ogłosił parę tygodni temu w Wrocławiu obszerną rezprawę niemiecką p. t. Łukasz Górnicki (*Ł. G. sein Leben und seine Werke, ein Beitrag zur Geschichte des Humanismus in Polen*, 223 str. w 8-ce). P. Löwenfelda znamy już oddawna, jako sumiennego a zdolnego pracownika w zakresie dziejów literatury polskiej, a także jako czynnego współpracownika w wydawnictwie i objaśnianiu pomnikowego zbioru dzieł Kochanowskiego. Pracę swą o Górnickim rozpoczął on parę lat temu i gdy już część biograficzną napisał, ukazał się w *Przeglądzie Naukowym i Literackim* (sierpień 1882) żywot tegoż pisarza, skreślony przez p. Czarnika. Obaj autorowie, nie ograniczając się materyami drukowanymi, szperali po archiwach, i to mniej więcej tych samych, doszli więc do jednostajnych prawie wniosków. Ale p. Czarnik zamierzył napisać i napisał tylko życiorys; p. Löwenfeld postanowił zbadać i ocenić całą działalność autorską i polityczną Górnickiego; to też książka jego obszerniejszy zakres ogarnąć musiała. W czem się co do przedstawienia żywota Łukasza G. obaj autorowie różnią i jakie, nieznane drugiemu, dokumenta obaj wyszukali, o tem dowiedzieliśmy się z artykułu p. Löwenfelda w III tomie *Ateneum* z r. 1883. Książka jego, obecnie ogłoszona, w siedmiu rozdziałach, idąc śladem życia i rozwoju Górnickiego, ocenia wszystkie jego pisma, szuka ich źródeł (np. bardzo ciekawe porównanie *Dworzanina* z jego pierwowzorem włoskim w rozdziale II), wyjaśnia ich tło współczesne, polskie i zagraniczne, rzucając tem nader zajmujące światło na treść i formę humanizmu europejskiego, na jego naturę w Polsce i wogóle na stan cywilizacyi ówczesnej. Naogół, zdaniem pana L., przeceniano u nas talenta i wpływ Górnickiego. O *Dworzaninie* np. powiada on (str. 78), że nie było pismo to ani wiernym wizerunkiem społeczeństwa polskiego z połowy XVI w., ani też bardzo naówczas poczytnem, a więc i niezbyt wpływowem. Oceniając ogólnie zdolności i zasługi Górnickiego, p. L. mniema, że talent jego był niewielki i tylko pod względem wyrobienia mowy ojczystej można go poniekąd twórczym nazywać, zresztą zaś był on natury reprodukcyjnej i eklektycznej. Posiadał jednakże bystre oko na drogi i sposoby podniesienia literatury w Polsce i sam wszechstronnemi pracami rękę do tego przykładał. Wszędzie i zawsze wygłaszał cudze pomysły, lecz z niestającą chęcią obrócenia ich na korzyść ojczyzny. Był wybitnym typem humanisty włoskiego z XVI wieku: oblicze jego moralne zgoła nie jest podobne do polaków XV lub XVII stulecia; jest on synem swojej epoki, satelitą wytwornego grona dworskiego Zygmunta Augusta, jednym z owych polaków w stroju włoskim, albo raczej włochów w polskiej szacie, którzy w XVI wieku humanizm u nas przedstawiali (str. 215). Politycznych, ani religijnych przekonań, ściśle a wybitnie uwydatnionych nie posiadał. Jakim był prywatnie, prawie nic o tem nie wiemy. „Był niezrodnym synem epoki odrodzenia, jako człowiek i jako pisarz. Arcydzieł nie stworzył. Nie należał do rzędu ludzi torujących nowe drogi, ale dla narodu swojego tłomaczem był i pośrednikiem najwyższych

idej, do jakich duch ludzki w owe czasy wznieść się zdołał. Że wpływ jego nie sięgał głębiej, nie jego w tem wina: naród poszedł innemi drogami, a most, który miał połączyć wiek Górnickiego z XVII stuleciem, zburzono."

Nie pozwalam sobie wchodzić w krytyczny rozbior pracy Löwenfelda. Starałem się jedynie kilku rysami wskazać, ile zajmujących stron dotyka ona i jak blisko nas obchodzi. Dodać winienem, że wieje z niej duch bezstronności i wzorowej przedmiotowości; że napisana jest ładnie i zajmująco, tak iż się czyta jak powieść; że wreszcie autor zapowiada wydanie zbiorowe i krytyczne opracowane pism Górnickiego, przy czem mamy nadzieję ujrzeć ową monografię w przekładzie polskim.

Niemcy otrzymują tedy jednocześnie dwa obrazki z dziejów naszych XVI wieku; szkic profesora Caro maluje, wyznać trzeba, „bez gniewu i uprzedzenia" najburzliwsze sceny życia domowego; to też wywołał on w referatach niemieckich okrzyki oburzenia na dawny „nierząd" nasz i niepowściągliwość; studyum p. Loewenfelda złagodzi to wrażenie, odkrywając jaśniejsze strony przeszłości naszej i okazując, ile i jak humanizm ogólnoeuropejski przedzierał się i rozkrzewiał w Polsce.

Gdyby kto chciał się dowiedzieć czegoś o malarstwie naszem ostatniej doby, nie wieleby się nauczył ze świeżo wydanego grubego foliału pana Ribbacha (*Geschichte der bildenden Künste*, Berlin, 1884). Nie przesądzając wartości dzieła, do czego nie mam żadnej kwalifikacyi, zajrzałem doń przez ciekawość tylko, aby się dowiedzieć, co tam stoi o naszej rzeźbie i naszem malarstwie. Na 850 stronnic całej księgi, łaskawy autor poświęca malarzom naszym (o rzeźbiarzach niema mowy) ogółem 11, wyraźnie jedenaście wierszy, które brzmią następnie: (str. 809) „Nowonabytą dla sztuki sferę (mowa o realizmie) reprezentuje polak rosyjski Hendrik Siemiradski (tak), który na obrazie *Chrystus i jawnogrzesznica* oraz w nieprzetrawionym co do kompozycyi i nie dość charakterystyki posiadającym utworze *Żywe pochodnie Nerona*, rozrzutnie farby i płótno traktował, lecz w *Tańcu śród mieczów* odznaczył się subtelnem modelowaniem, delikatnym nastrojem i umiarkowaniem barw, mimo ich ton wonny a ognisty." I dalej (str. 836): „Jan Aloizy Matejko (tak) wsławia dzieje ojczyste, które postaciuje z wydatną charakterystyką i mistrzowstwem w szczegółach, ale często szorstko i ponuro, a dla nas jakoś niezwykle: *Unia lubelska*, *Bitwa pod Tannenbergiem*, *Sobieski pod Wiedniem*." Na tem koniec. Voilà comme on écrit l'histoire.

Jak są sezony kąpielowe, myśliwskie, tak w Niemczech bywa sezon książkowy. Nowy rok jest punktem jego kulminacyjnym. Nie mówiąc już o wydawnictwach gwiazdkowych, których imię jest legion, ale i rzeczy poważnych, naukowych najwięcej w tej porze się drukuje, a także czasopisma rodzą się wraz z nowym rokiem, chociaż nieraz dni ich są dniami motyla. Z kilkudziesięciu nowonarodzonych wspomnę tu o takich, którym bliżej mogłem się przyjrzeć.

Najstarszem z nich jest już drugi rok życia rozpoczynający miesięcznik *Aus allen Zeiten und Ländern*, wydawany w Brunświku; treść jego głównie historyczna, literacka, artystyczna i społeczna; redakcya i dobór współpracowników staranne. W roczniku ubiegłym ciekawe są monografie historyczne, np. ostatnie chwile cesarza Pawła, według nowych źródeł; Don Karlos, królewicz hiszpański i wiele innych; badania nad rozwojem kształtów domu niemieckiego przez Lipperta i dużo innych szkiców z dziejów kultury.

W tym roku do szeregu tygodników krytycznych przybyły *Wissenschaftliche Literaturblätter*, pod redakcyą Lissnera w Lipsku, ze współudziałem wielu powag uczonych niemieckich. Układ czasopisma tego dość jest podobny do starego *Literarisches Centralblatt* i młodej *Deutsche Literaturzeitung*; tem się chyba różni, że każdy numer zawiera artykuł wstępny i że pismo to ciaśniejsze sobie koło od tamtych zakreśla, dbając głównie o sprawozdania najnowszych prac na polu humanistycznem. Numer pierwszy zawiera, pomiędzy innemi, ocenę dzieła Lipperta *O religiach ludów ucywilizowanych* i Guthego *O urywkach Deuteronomium na skórze*, o czem dawno już w *Prawdzie* pisałem. Wyczytujemy też w nim sensacyjną wiadomość, że w tutejszej bibliotece uniwersyteckiej „odnaleziono" komplet roczny gazety z r. 1609. W następnym liście opiszę te „awizy" z XVII wieku; tymczasem donieść mogę, że o żadnem „odnalezieniu" mowy być nie może, gdyż o gazecie owej dobrze tu wiedziano, a w r. 1877 dr. Opel napisał o niej osobną książeczkę.

Znana światu firma Cotty w Sztutgardzie rozpoczęła w tym miesiącu wydawnictwo nowego miesięcznika *Zeitschrift für allgemeine Geschichte, Kultur-, Litteratur- und Kunstgeschichte*; ma być to czasopismo popularne, uprawiające głównie dzieje, w krótkich zaokrąglonych szkicach.

Rocznik lingwistyczny prof. Techmera, o którym dawniej wspomniałem, ukazał się nareszcie w pięknym tomie dużego formatu. Nazwę swoją „międzynarodowego" (*Internationale Zeitschrift für allgemeine Sprachwissenschaft*) usprawiedliwia on zamieszczając rozprawy w językach niemieckim, angielskim i francuskim. Rozpoczyna go piękny portret sztychowany Wilhelma Humboldta (podług pomnika, świeżo wystawionego w dziedzińcu przed gmachem uniwersyteckim w Berlinie); jako ilustracyę do niego wydrukowano parę nieznanych listów tego znakomitego językoznawcy, jednego z założycieli lingwistyki nowoczesnej. Osiwiały Pott nie po raz pierwszy streszcza ogólne swe poglądy na językoznawstwo w obszernym artykule treści encyklopedycznej, mówiąc naprzód o stronie filozoficznej tej nauki (początek mowy, gramatyka powszechna), a dalej o jej podstawach przyrodniczo-historycznych i klasyfikacyi języków. Widać z obszernej tej rozprawy, że nie obce są sędziwemu lingwiście nowsze prądy językoznawstwa — tak zwany zwrot psychologiczno-analogistyczny — choć względem niego w pracy tej dość sceptycznie się zachowuje. Największą część książki zajmuje studym wydawcy, p. Techmera, p. n. „Rozbiór i synteza mowy słyszanej," oparte na gruntownych badaniach strony fizyologicznej brzmień, z mnóstwem rysunków, objaśniających doświadczenia za pomocą płomienia lampy nad dźwiękami mowy ludzkiej; rzecz zupełnie nowa i bardzo zajmująca. Dalej czytamy odezwę nieznanego mi skądinąd amerykanina, zachęcającą do obserwowania i poucząjącą jak notować giesty ludzkie, towarzyszące mowie. Jeżeli kiedy padnie choć słabe światło na początek mowy ludzkiej, to, zdaje mi się, tylko drogą dokładnego zbadania ruchów, które, mocą dziedziczności, podziśdzień wszyscy wykonywamy różnymi mięśniami i członkami mówiąc, chociaż właściwie teraz już, mając język dokładny, moglibyśmy bez nich się obejść: widać to na anglikach, którzy, podczas rozmowy, żadnych prawie giestów nie robią. Otóż mniemać należy, iż pierwotnie mówiono samymi pniami t. j. krótkimi fonematami, bez żadnych afiksów czyli rostków, a tem samem bez żadnych końcówek przypadkowych, osobowych itd., zastępując je intonacyą, a głównie ruchami mięśni twarzy, oczu, rąk, głowy, wreszcie całego ciała. Rzecz więc jasna, iż poznać należy te ruchy i opisać, szczególnie u plemion pierwotnych. Fryderyk i Maksymilian Müllerowie, francuz Adam, Sayce i Brugmann przyczynili się też rozprawkami swojemi do uświetnienia pierwszego tomu nowozałożonego czasopisma; Sayce podaje nową zupełnie teoryę tłumaczenia końcówek konjugacyjnych (utożsamia je z zakończeniami przypadków, ale nie z zaimkami, jak dotąd czyniono), a Brugmann zastanawia się nad stopniami pokrewieństwa języków aryjskich. Ta ostatnia i Techmera rozprawa prym trzymają, chociaż i inne wcale pospolitemi nie są.

Drugie czasopismo międzynarodowe założył znany u nas De Gubernatis we Florencyi; zakreśla ono sobie szerszy i więcej dostępny od tamtego widnokrąg, mianowicie zamierza obeznawać czytelników z obecnym stanem i rozwojem wszystkich piśmiennictw ucywilizowanych; język obrało sobie francuski, jako międzynarodowy; tytuł *Revue internationale*; wychodzić ma, jak *Revue des deux mondes*, dwa razy na miesiąc. Sądząc z dotychczasowej działalności niezmordowanego w pracy, a wysoce uzdolnionego włocha, wnosić należy, iż będzie to coś bardzo dobrego. Nikt może nie zdołał ująć tak umiejętnie i żywo najwybitniejszych znamion literatur różnych narodów, jak właśnie De Gubernatis w swojej po włosku ogłaszanej historyi powszechnej piśmiennictwa (*Storia universale della letteratura*, Medyolan). Dla miłośników literatury podaniowej ostatnie dwa tomy szczególnem odznaczają się zajęciem; tom VII mieści dzieje podań ludowych, ósmy zaś wzory ich, czyli raczej przykłady: autor wziął dziesięć podań i przeprowadził je przez wszystkie piśmiennictwa, badając formę ich popularną, oraz artystycznie przez poetów, moralistów, kaznodziei obrabianą. Podziwiać tu wprawdzie należy i niepospolity talent pochwytywania cech najcharakterystyczniejszych i ogromną erudycyę autora. Niepodobna zaprzeczyć, że najpiękniejsze utwory wszystkich literatur wysnuto z podań lub dziejów bajecznych (jak to starałem się okazać w rozprawce mojej w *Ateneum* r. 1883 tomie II); cóż przeto słuszniejszego jak starać się poznać porównawczo te podania, aby módz potem zrozumieć i ocenić utwory sztuki każdego narodu?

Mówiąc o nowych czasopismach, powinienbym właściwie rozpocząć od najbliżej nas obchodzącego z pomiędzy zagranicznych, od czeskiego. Powitajmy i pozadrośćmy pobratymcom *Athenaeum, listy pro literaturu a kritiku vědeckou*. Miesięcznik ten, którego numer czwarty mam przed sobą, zaczął wychodzić w jesieni roku zeszłego; redaktorem jest prof. dr. Masaryk. Za wzór, pod względem formy i układu, obrało sobie to czasopismo *Literarisches Centralblatt* Zarnckego: zdaje ono sprawę z ważniejszych dzieł naukowych wszystkich gałęzi; przy każdym dziale podaje treść najlepszych czasopism z każdego fachu; pod koniec wylicza artykuły czasopism natury ogólniejszej i zamieszcza ciekawsze wiadomości bieżące. Niektóre referaty są prawdziwemi krytykami, zajmującemi kilka kolumn; inne znowu w zwięzłych ocenach poglądy swe streszczają. Z pomiędzy czasopism polskich jedno tylko *Ateneum* warszawskie figuruje w przeglądzie czeskim; możeby nie należało mu zapominać o *Bibliotece warszawskiej*, o przeglądach naukowych galicyjskich i poznańskich.

Kiedyżmy się doczekamy podobnego czasopisma? Przegląd krytyczny krakowski, choć dobrze był redagowany, upadł dla braku prenumeratorów; a zdaje się, że organ tego rodzaju niezbędnym powinienby być dla piśmiennictwa kraju, który ma chęć i powody nieoddzielania się od reszty Europy. Właśnie w *Athenaeum* czeskiem wyczytuję wiadomość, że wszystkie dzieła Spencera wychodzą w przekładzie... japońskim (N. 4 str. 133). Czyż i w tym względzie damy się wyprzedzić azyatom?

*Jan Karłowicz.*

---

# LIBERUM VETO.

Jowisz rozdzielający ciała duszom.—Skargi wszystkich i radość dwu. — Aktor i konserwatysta. — Statystyka policzków rozdanych przez śpiewaczkę, słynniejszą niż Arystoteles.—Szanowny autor działający z najzacniejszych pobudek. — Ostatnie ogniwo szarego końca. — Tolerancya. — Co wolno konserwatyście. — Przyszła rada dla syna.—Satyra Bałuckiego.—Skarcona próba.— Króciutki biczyk. — Warszawa jako *Dom otwarty*. — Ujejski starający się o bilety.—Tańce podczas cholery.—Karnawał bankrutów.—Usprawiedliwienie.

Na tronie w niebie zasiadł Jowisz a u jego stóp długim rzędem stanęły dusze, mające nazajutrz wejść w ciała nowonarodzonych ziemian.

— Ty wstąpisz w chłopa — rzekł władca świata do pierwszej, bardzo mizernej.

— Boże — zawołała przerażona — zlituj się nademną! Karczmarz... pisarz! Jeżeli pozostanę, gdzie mnie postawisz, to będę tak głupim, że nie odróżnię blaszek karcianych od dukatów, a jeżeli dźwignę się wyżej, to mi swej ręki odmówi córka szlachcianki, wspieranej przez Towarzystwo Dobroczynności.

— Ty druga wleziesz w żyda.

— Gwałtu! Cóżem zawiniła, że mam do wyboru tylko: albo szachrajstwo, albo nieszczęście, albo nienawidzić, albo być nienawidzoną?

— Trzecia wcieli się w szlachcica.

— Panie litościwy, wszak wiesz, co są wielkie nałogi w pustej kieszeni.

— Czwarta zostanie bankierem, piąta — kupcem a szósta przemysłowcem.

— Nie karz nas, boże, a przynajmniej poślij tam, gdzie kredyt jeszcze nie upadł, a socyaliści się nie podnieśli.

— Siódmą przeznaczam dla urzędnika.

— Jowiszu, pozwól mi posiadać nietylko stronę czynną, ale i bierną, bo drożyzna ciężka.

— Ósma będzie aktorem.

— Znakomitym — hosanna!

— Dziewiąta literatem.

— Konserwatywnym — hosanna!

— Czemuż u dyabła wy dwie tylko tak się cieszycie? — rzecze zirytowany Jowisz.

Ale obie rozradowane dusze znikły mu a oczu, bo natychmiast ze swem przeznaczeniem zbiegły na ziemię.

Taki mit wysnuliby niewątpliwie grecy, gdyby z nami żyli.

Winienem objaśnić słuszność tej legendy. Aktor a nadewszystko aktorka jest istotą najszczęśliwszą ze śmiertelnych. Nie potrzebuje ani długo się uczyć, ani ciężko pracować, ani pozostawać w zależności od zmiennych prądów czasu — a pomimo to, jeśli ma talent, pobiera olbrzymią stosunkową pensyę i jeszcze większą, za życia wypłacaną sławę. Ściśle mówiąc, największy geniusz wiedzy lub sztuki nie dosięga nigdy takiego rozgłosu a nawet takiej czci, jak aktor lub aktorka. Nie prawda? Przypuśćmy, że Aristoteles był rozpustnikiem, zawierał małżeństwa dla uwolnienia się od uciążliwych kontraktów, pił, hulał itd. — co biografowie powiedzieliby o tych jego czynach? Przyznaliby po prostu, że był nieraz kpem lub urwisem. Tymczasem umiera w Wiedniu śpiewaczka J. Gallmayer, bardziej znana w Europie, niż Aristoteles, która wszystkie te grzechy popełniła — i wiecie co o niej gazety piszą? Nietylko zachwycają się grzechami, ale wykazują z zachwytem, ile rozdała... policzków. Razem znanych — cztery. I tak dowiedziono, że naprzód uderzyła w twarz dyrektora Strampfera, drugi raz — jakiegoś komika w Peszcie, trzeci raz — kolężankę w New-Yorku, czwarty raz — kochanka. Proszę mi wydobyć z historyi taką wielkość, w której życiu dokładnie obliczonoby i należycie uczczono rozdane policzki. Może Michał Anioł, Kopernik, Darwin? Bynajmniej. A więc... pierwsza dusza miała zupełną racyę.

Wybadajmy drugą. Rozumowała ona tak: Ciało literata wogóle nieponętne: musi wiele się uczyć, ciężko pracować i biedy zażyć, ale ciało literata konserwatywnego — to raj. Jeżeli postępowiec napisze publicznie, że ktoś z przeciwnej strony kosił wiedzę po czubkach lub ją tajemnie brał z cudzego stogu, lub jej nawet wcale od nikogo nie pożyczał, to takiego „napastnika“ i „brutala“ można bez sądu wbić na pierwszy lepszy pal, albo wystrzelić z armaty; ale jeżeli konserwatysta zwymyśla postępowca jak dziad częstochowski, napadnie go jak opryszek, spotwarzy jak Judasz, będzie to tylko — „zdaniem naszem“ — szanowny autor, który „*z najzacniejszych pobudek* posunął się za daleko w swym pesymizmie.“ Jest w naszej prasie pismo, zamykające jej szary koniec, które co numer, obok strumienia pomyj, wylewanych na żydów, podejmuje przeciw innym najgłupsze i najniegodziwsze zarzuty. Gdyby nieszczęściem takie plugastwo narodziło się w prasie postępowej, wypominanoby je naszym prawnukom a współcześnie stawianoby pod pręgierzem dwa razy dziennie — w wydaniach porannych i wieczornych. Znałem pewnego konserwatystę, który w gamie niecnót pominął może zaledwie jeden ton, który okpiwał i zdradzał zarówno znajomych, jak ogół i który mimo taki dorobek był autorem poważanym a nawet mnie kilka razy skazał na śmierć za... niemoralne tendencye. Bo konserwatyście wszystko wolno: może on z belką w oku własnem wskazywać źdźbła w cudzych, może być mormonem i wieszać ludzi za złamanie jednożeństwa, może nigdy nie chodzić do kościoła i skarżyć innych o bezbożność, może spijać się i wyklinać za pijaństwo, może nic nie umieć i wyrzucać nieuctwo, może wynajmować się i piętnować służalczość, może rozbijać pałką i wykazywać niebezpieczeństwo noszenia lasek — zawsze pozostanie mężem „szanownym“ i „poważnym.“ Każdy naród ma więcej zachowawców, niż liberałów, ale w tej większości u nas zaledwie jeden procent idzie za przekonaniem a reszta za wygodą. Och, Jowiszu, ty nie przypuszczasz, jak to wygodnie być konserwatystą! Do tej roli nie jest konieczną ani nauka, ani praca, ani surowość obyczajów, ani nawet sumienie. Gdy syn mój, wychodząc z pod opieki ojcowskiej, będzie mnie żegnał na progu życia samodzielnego, powiem mu: jeśli zechcesz broić bezkarnie, nabywać sobie głupotą dyplom nauki a obłudą tytuł cnoty, jeśli zapragniesz używać bez przeszkody, a broić bez odpowiedzialności, być zawsze wyższym od tych, którym niegodzien będziesz kurzu z butów otrzepać — zostań konserwatystą.

Korzyści takiego zawodu wykazał niejednokrotnie w swych komedyach bawiący między nami Bałucki, ale robił to bardzo lękliwie, ażeby nie ściągnąć na siebie niełaski tych, którzy należą do „większości.“ Rzecz dziwna, jak ścisły nieraz związek zachodzi między wzrokiem fizycznym a duchowym. Autor *Radców* ma tylko jedno zdrowe oko — i w obserwacyach też swoich widzi połowę życia. Nie pobożniś, nie szlachcic, owszem satyryk dość wolnomyślny, nie umie jednak, czy boi się obrzucić humorem zasadniczych wad naszego społeczeństwa. Raz próbował (w *Sąsiadach*) wyprowadzić swą Muzę z żółwiej skorupy, co krytyka wpisała mu do czarnej księgi, i mam nadzieję, że już nigdy tak długiego bicza nie ujmie, lecz będzie wywijał króciutkim, ażeby po za łydki mieszczan, albo raczej mieszczan krakowskich nie sięgnąć. To też pisma najnowszą jego komedyę *Dom otwarty* chwalą, a publiczność na przedstawieniu się bawi, bo z „podpór społeczeństwa“ widzi najbardziej ośmieszonych— Fikalskich.

Przyznajmy, że komedya ta ukazała się na scenie w porę. Cała bowiem Warszawa jest tego karnawału jednym *Domem otwartym*. Ludziska, choć głodni, nadzy i zadłużeni, tańcują po pół doby bez odpoczynku. Na bal malarski wydzierano sobie bilety, a na techniczny szturmowano do komitetu najpoważniejszemi protekcyami. Przed kilku dniami zaszczyciła mnie swą bytnością jakaś nieznajoma dama:

— Miałam przyjemność przeczytać jeden numer *Prawdy* w Łomży...

— Ach, szanowna pani, ja tego nie wymagam.

— Wiem, wiem, ale sprawiłam sobie przyjemność.

— Oświadczę to wszystkim naszym współpracownikom.

— Otóż, jako czytelniczka pańska śmiem prosić o pomoc.

— Pani ma syna w gimnazyum...

— Mam, chłopczyk bardzo dobrze się uczy, tylko z niemieckiego, z arytmetyki, z łaciny i polskiego dostał gorsze stopnie. Poprawi się... jest nadzieja... Czy pan dobrodziej nie zna Kornela Ujejskiego?

— Osobiście — nie.

— Szkoda, bo właśnie chciałam prosić o kilka słówek polecających do niego...

— W jakiej sprawie?

— Ma się odbyć bal techniczny, na który córki moje pragną być koniecznie a biletów dostać nie można. Otóż gdyby Ujejski napisał za niemi do p. Kucharzewskiego lub Spornego...

— Ależ pani...

— Przepraszam, sądziłam, że pan zna Ujejskiego.

Tak się ludzie bawią. Pewien szanowny świadek dawniejszych epok naszego życia twierdzi, że podobnie bawiono się przed 30 laty—podczas cholery. Tańcem, szałem głuszono ból i odpędzano widma śmierci, lub wyczerpywano gorączkowo ostatnie krople żywota. W historyi mamy niejeden widok pląsów na grobach lub wulkanach. Ochoczość zatem tegorocznych zapust nie jest zjawiskiem dziwnem i ma swoje usprawiedliwienie w stosunkach rzeczywistych. Karnawał bankrutów, oczekujących cholery, niewidzących nadziei—musi być wesoły. I dlatego nie oskarżam nikogo. Przed stu laty tańcowaliśmy zawzięciej, wtedy panie były bardziej wygorsowane i nawet w płytkich chodziły pantofelkach, ażeby pierścionki na palcach u pięknych nóżek odbijały się widoczniej.

Więc czytelnicy zamówcie sobie wcześnie — *vis-à-vis*.

*Poseł Prawdy.*

---

# NA WIDNOKRĘGU.

**Kijów.** U nas — zwyczajna pustka i cisza; chociaż stały mieszkaniec Kijowa spostrzega już pewne znamiona, zwiastujące niedaleki wir kontraktowy. Tu i owdzie można już napotkać typy ze wsi, ruszające się z pewną ociężałością po bruku i chodnikach; to pierwsze jaskółki, którym tak spieszno—pożyczyć pieniędzy. Częściej daleko widzi się ruchliwe żydowskie twarze, ozdobione pięknie i starannie wypieszczonymi pejsami; sądziłbyś nieraz, że snują się jak mrówki, niby bez celu: spotkają się, rozmawiają chwilkę, rozchodzą się w dwie przeciwne strony, ale mają cel jasno wytknięty — poszukiwanie mamony. Szkoda tylko, że za tą mamoną pełzają po naszem ciele.

Mały naszświatek finansowy zaniepokojony teraz ogromnie nowym projektem ministra finansów p. Bunge, dotyczącym nietylko obowiązkowo ściślejszej niż dotąd kontroli banków, ale i osobistej odpowiedzialności dyrektorów w razie wykazanych nadużyć. Trzeba przyznać, że dziś stało się to koniecznością, ażeby prawo nietylko naka-

zywało, ale zmuszało nawet jednostki do pełnienia tych przynajmniej obowiązków publicznych, które przyjęły nie w imię pojęć służby publicznej, ale—za grube pieniądze. Doszliśmy nareszcie do tego, że dobrze i zręcznie kraść stało się pewnem bohaterstwem; pobłażliwość publiczna dochodzi u nas w tym względzie do okropnych kresów, bo nietylko zdolną jest uniewinnić jawne złodziejstwo, jak to się niedawno stało z osławionym Swirydowem, ale sentementalizuje jeszcze na temat zbrodni. Czy to nieumiejętność w poznaniu duszy ludzkiej, czy naiwność granicząca z głupotą, czy nareszcie zupełne znikczemnienie społeczne — ja tego rozwiązywać nie chcę, ale dość, że u nas dosyć jest, ukradłszy 300 tys., dosyć jest mieć dzieci, ażeby czuli sędziowie usprawiedliwili złodzieja. Więc złodziej nie winien, bo szatan skusił go ukraść; dyrektor nie winien — bo on ufał człowiekowi; kontroler nie winien — bo podpisywał wszystko, co mu podano — któż winien? Oczywiście Panurgowe owieczki... *Kijewlaninowi* „dawno niepodoba się, że *wszyscy* kradną,“ a sprawa Swirydowa oburza go, bo któż to Swirydow? Prosty mieszczuch, który nietylko nie był ani docentem, ani profesorem uniwersytetu, ale nie miał nawet niskich odznaczeń. To okropność! Dojdzie do tego, że kradliby stróże, gdyby ich dopuszczono do kasy.

Zmarł w Kijowie Paweł Czubiński, rusin, urodzony w Boryspolu (połtawskiej gub.). Ukończywszy uniwersytet w Petersburgu, oddał się badaniom etnograficznym nad własnym krajem, ale studya te zaprowadziły go do Archangielska, gdzie, dzięki osobistym zdolnościom, umiał wysunąć się naprzód i zawiązać stosunki z Towarzystwem geograficznem, które wymyśliło potrzebę uczonej ekspedycyi—jak myślicie, dokąd? — na Ukrainę! Otóż na czele tej wyprawy wyjechał Czubiński i tak się zakrzątał około zbierania etnograficznego materyału, tak umiał obudzić powszechne zajęcie pomiędzy barbarzyńcami, że w peryodzie od 1868—1871 r., wydał 7 ogromnych tomów p. t. *Prace etnograficzno-statystycznej ekspedycyi do południowo-zachodniego kraju.* Jest to, nawiasem powiedziawszy, jedna z kapitalnych prac i największych, jakie w ostatnim dziesięcioleciu dokonano. Nie znałem wprawdzie Czubińskiego, ale znałem jego współpracowników, i dlatego wiem dokładnie, że plan był nadto ściśle mu nakreślonym, dlatego też praca wyszła taką, jaką była potrzebna, a nie taką, jaką być mogła.

Następnie zwrócił się Czubiński do badania przemysłu cukrowniczego; i tu zostawił ślady swojej energii i rzutkości. Wypadek go wprowadził na tę drogę, ale umiał skorzystać z niego i wynikiem badań były znowu: *Statystyka przemysłu cukrowniczego w Rosyi* i mapa rozwoju tego przemysłu. Wogóle można powiedzieć, że zdolny ten i pracowity człowiek, zgasły przedwcześnie, bo w 44 r. życia, nie zawsze działał na tem polu, dokąd go nęciła nauka i zamiłowanie. Z uczonego stał się urzędnikiem. Od etnografii przeszedł — do ministeryum komunikacyi (1876). Umysł jego szukał i tu zajęcia a małą broszurką, badającą stan i statystykę szkół przy kolejach żelaznych, zakończył karyerę.

Na zakończenie niniejszej korespondencyi jedno charakterystyczne *curiosum* — na temat złodziejstwa. Na Podolu, niedaleko miasteczka Czarnego Ostrowa, we wsi Wodyczkach, mieszkał ciepły szlachcic — dzierżawca p. Markuszewski. Pewnej pięknej nocy — zapewne pięknej nie dla p. Markuszewskiego — napadli na dom jego rabusie, zamaskowani, jak zwykle w takich tajemniczych wypadkach dzieje się; powiązali służbę, klucznicę, bonę, następnie wzięli na indygację gospodarza. Złodzieje byli dobrze poinformowani, bo wiedzieli, że szlachcic otrzymał niedawno 30 tys. rs. Tymczasem nalegany o pieniądze dał tylko 9 tys. Gdzież więcej? pytają. Przestraszony powiada, że pożyczył 17 tys. p. M. Pokaż weksel — pokazał. Wzięli tedy weksel, podziękowali szlachcicowi za grzeczne przyjęcie i, żegnając się, poprosili aby im dał — każdemu naturalnie — coś z drogich rzeczy na pamiątkę. Szlachcic i w tym wypadku okazał się miękkim i oddał wszystkie swoje i żony klejnoty. Potem naturalnie złodzieje odjechali. Policya *okropnie* zaalarmowana i robi *nadzwyczajnie* poszukiwania złodziei; domyśla się, że musieli owi goście balonem odjechać — bo śladu nie zostało po nich najmniejszego... Byłoby to śmieszne, gdyby nie było smutne. *F. R.*

**Żytomierz**. Pomiędzy prawowiernymi żydami cieszy się sławą znakomitego pedagoga niejaki Grinman z przydomkiem *Kat*. Niedawno Kat ów tak zbił jednego ze swych uczniów, że ten natychmiast umarł. Poprzednio już sławny ten mełamed zabił małego chłopca, również swego ucznia a drugiemu oberwał ucho, ale udało mu się uniknąć odpowiedzialności. Charakterystyczną jest okoliczność, że gdy rabin po ostatnim wypadku chciał zamknąć cheder, zwolennicy pedagogicznej metody „Kata“ oparli się temu, twierdząc, „nie należy odbierać kawałka chleba biednemu człowiekowi.“

**Nowogródek**. Podpalanie przez zemstę staje się faktem powszednim; kłótnia chłopów między sobą, nieporozumienie z żydem handlarzem zwykle sprowadza za sobą pożar. Wciągu miesiąca zdarzyło się większych 7 — wszystkie z podpalenia.

**Z Wołynia**. Petersburskie Towarzystwo wzajemnego kredytu podczas nieobecności p. S. wystawiło na licytacyę i sprzedało należący do niego majątek. Po powrocie p. S. okazało się, że rata była w swoim czasie opłacona. Nowonabywcy wytaczają Towarzystwu proces.

---

## TYDZIEŃ POLITYCZNY.

*Warszawa, d. 6 lutego.*

Kwestya socyalna. — Stan oblężenia w Wiedniu. — Sprawy parlamentarne. — Zwycięstwo radykalistów francuskich.—Pierwsze wybory w Serbii.

Kwestya socyalna występuje znowu na pierwszy plan, usuwając z porządku dziennego sprawy wyłącznie polityczne, przejawia się ona pod rozmaitemi postaciami, bądź jako wrzenie masy robotniczej (np. we Francyi), bądź w zuchwałej działalności terorystów, uwieńczonej całym szeregiem pomyślnie dokonanych zamachów. Zagrożone rządy i tym razem wysunęły na obronę arsenał środków represyjnych; można jednak powiedzieć, że nauka nie poszła w las, bo nawet w najbardziej zachowawczych sferach rozlegają się głosy, nawołujące państwo do przedsięwzięcia reform społecznych, w których spoczywa jedynie skuteczne lekarstwo na rewolucyjną chorobę.

Hasło do represyi dała Austrya. Według zdania tamtejszej policyi, w Wiedniu od kilku lat istnieje związek utworzony przeważnie z zagranicznych żywiołów rewolucyjnych i z jego jakoby łona wychodzą projekty zamachów, rabunków i zaburzeń. Taka kolonizacya rewolucyjna nie jest nieprawdopodobną, ale musiała na miejscu znaleść grunt odpowiedni, jeżeli przyjęła się i działa z powodzeniem. W rozkładającem się państwie Habsburgów spory polityczne a zwłaszcza narodowościowe, roznamiętniając masy w jednym kierunku, były konduktorem, odprowadzającym i osłabiającym działanie pobudek ekonomicznych; z chwilą jakiego takiego ich załatwienia kwestya społeczna występuje na pierwszy plan. Rewolucya jednak bynajmniej nie grozi teraz Wiedniowi i zdaje się, że przeceniono mocno znaczenie ostatnich zabójstw. Przyczyna ich leży nietyle może w agitacyi anarchistów, ile w samowoli i zepsuciu policyi austryackiej. Anarchiści mierzą zwykle wyżej, a chociaż nie ulega wątpliwości, że zabójcy Holubka i Blocha należą do socyalistów—są raczej przedstawicielami robotniczych kółek, aniżeli zorganizowanej partyi. Strach ma wielkie oczy — więc i bürger-ministeryum przelękło się zrazu i ogłosiło w 3 okręgach częściowy stan oblężenia. Na mocy rozporządzeń gabinetu podpisanych przez cesarza, zawieszono działanie konstytucyi i zaprowadzono ograniczenie osobistej wolności, nietykalności mieszkań, tajemnicy listów, wolności prasy i zgromadzeń. Cały szereg przestępstw wyjęty został z pod kompetencyi sądów przysięgłych. Proklamacye, zapowiadające zamach na osobę cesarza, dodały podstawy temu sposobowi działania, który anarchistom zaszkodzi niewiele, a całym ciężarem przygniecie spokojną ludność.

Pomimo zawieszenia pewnych paragrafów konstytucyi, na zasadzie specyalnie austryackiej logiki, parlament obraduje w dalszym ciągu. Wniosek Herbsta o cofnięciu przepisów, nakazujących wprowadzenie w sądach i instytucyach publicznych języka czeskiego, został odrzucony prawie bez rozpraw. Posłowie polscy zamierzają podobno wystąpić przeciw ministrowi wojny, który ulegając podszeptom centralistów, stanowczo opiera się decentralizacyi państwowych dróg żelaznych.

Przesilenie robotnicze w Paryżu od kilku tygodni jest przedmiotem rozpraw Izby. Dotychczas nie wymyślono nic stanowczego i tylko w ubiegłą sobotę zapadła uchwała zasadniczo rozstrzygająca rzecz. Chodziło o to, czy rząd powinien energicznie wziąć sprawę w swoje ręce, czy też pozostawić ją inicyatywie prywatnej i co najwięcej dopomagać. Pierwszej teoryi bronił Clemenceau, drugiej — Ferry. Po namiętnej dyskusyi radykaliści odnieśli zwycięstwo; większością 8 głosów Izba postanowiła wyznaczyć komisyę do zbadania nędzy śród klas robotniczych. Cała sprawa niema wielkiej wagi, świadczy jednak o tem, że myśl przeprowadzenia przez państwo reform społecznych zyskuje nawet we Francyi coraz więcej zwolenników, a zarazem, że rząd na stałe poparcie Izby liczyć nie może i jeżeli nie pójdzie we wskazanym kierunku, łatwo zostanie obalony.

Opozycya gromadzi przeciw Ferremu i inne zarzuty; twierdzi mianowicie, że porozumiał się on z papieżem po za plecami Izby; uchylenie postanowienia o cofnięciu nieprzyjaznym dla państwa księżom wypłaty pensyi i przystąpienie do obozu rządowego wielu klerykałów pod przewodnictwem biskupa Freppela nadają pozory wiarogodności tym odkryciom. Gabinet broni się, ale nieudolnie i sprawa ta silnie mu zaszkodzić może w Izbie, której znaczna większość jest stanowczo—antiklerykalną.

W Serbii odbyły się pierwsze wybory do nowej skupczyny. W kraju tym są one podwójne, teraz jednak już można sądzić o przyszłym składzie przedstawicielstwa narodowego. Radykaliści ponieśli porażkę, ale rząd nic zyskał na tem, bo najwięcej głosów dostało się liberalnym, na czele których stoi Ristics. Prawda, że król zamianuje jeszcze 44 członków skupczyny, ale i wtedy nawet na stanowczą większość liczyć nie może.

---

**Londyn**. Backer-pasza wysłany przeciw Mahdiemu poniósł straszną klęskę. Rząd angielski gotuje na gwałt posiłki. Okręty, transportujące wojsko do Indyi, otrzymały rozkaz zatrzymania się w portach, prawdopodobnie zwrócone, będą do Egiptu.

**Peszt**. Wniosek Tiszy, cofający odrzucony przez Izbę magnatów projekt prawa o małżeństwach, przyjęty został po długich i namiętnych rozprawach. Głównie występowała przeciw dwulicowości ministra—lewica.

---

# CUDZE GŁOSY.

**Z mowy Hausnera.** Skończyły się już w wiedeńskiej Radzie państwa zapasy o język państwowy, o których zabawnym rezultacie podaliśmy wiadomość na innem miejscu. Pomimo długiego zbrojenia się i kilkudniowej walki — na placu bitwy nie poległ ani jeden żołnierz, tylko dym z oratorskich fajerwerków unosi się nad pobojowiskiem... Trzeba przyznać, że obie strony szermowały słowami często oślepiająco. Pismu tygodniowemu niełatwo podawać choćby ekstrakty z tych zabójczych mikstur twardej logiki i ciętego sarkazmu, któremi karmiono się wzajemnie po kilka godzin z rzędu. Toż ograniczyć się nam wypada do zwięzłych wyciągów i to niewielu tylko przemówień, z których po mowie Grégra podnieść przedewszystkiem należy Hausnera. Zdolności oratorskie posła tego znane są czytelnikom *Prawdy* z zeszłorocznej zwłaszcza kampanii.

„Żeście się, moi panowie — mówił były secesyonista do lewicy — całkowicie i stanowczo zrzekli dwóch swoich przydomków: *liberalnych* i *wiernokonstytucyjnych*, nie jest to naszem tylko twierdzeniem, gdyż sam wasz wnioskodawca, hr. Wurmbrand, na uzasadnienie swego wniosku powiedział: „My liberalni i postępowi zajmujemy w sprawie narodowości ściśle konserwatywne stanowisko.“ To znaczy: stanowisko zupełnie przestarzałe i absolutystyczne... Hr. Wurmbrand przyznaje następnie, że narodowość jest zupełnie nowożytnem, demokratycznem pojęciem, wyrażając z tego powodu zdziwienie, że stronnictwo zachowawcze przyjęło je do swego programu; ale mimo to odpiera je i kończy następującemi słowami: „Wolność i równość w praktycznem życiu państwa ma tylko bardzo względną wartość...“ (*Wesołość*).

Moi panowie! Liberał, który odpiera czysto nowożytne, demokratyczne pojęcia a praktyczną wartość swobody i równości kwestyonuje i ogranicza, jest zjawiskiem dziwnem i pięknego dostarcza przykładu trafności naszej austryackiej terminologii stronnictw...

...Wiek XVIII wydał swobodę sumienia i tak ją ubezpieczył, że nawet ów fantastyczny w rozprawianiu a brutalny w działaniu zastęp, który za dni naszych po różnych krajach się tłumi a równouprawnienie wyznań w jednym punkcie chciałby podkopać, że nawet antisemici czują się zmuszeni wyznaniową stronę swej roboty ukrywać i zupełnie jej się wypierać a całą sprawę — prawda, że chyba tylko dla zwiększenia jej niedorzeczności — przenieść na pole walki rasowej!

Nasz zaś wiek XIX przejął za zadanie rozszerzyć dalej zasadę swobody i równość, zastosować ją do narodowości i języka i praktycznie dokonać tego, aby każdy język ochraniano i szanowano, nietylko wielkie, dumne języki cywilizacyjne i światowe, ale każdy, który komuś jest miły. Ci, którzą z pewnem zamiłowaniem starają się nieustannie o wywołanie waśni, między dążeniem narodowości a wolności, którzy je jako niezgodne uważają, zaprawdę nie wiedzą, co mówią i co czynią. Bo głupcem jest, kto żąda dla siebie swobody mowy i narodowości, ale innemi swobodami gardzi, a obłudnikiem jest, kto udaje, że ceni inne swobody, ale narodowej się wypiera i odmawia jej innym, bo bez swobody narodowości i języka nie masz prawdziwej wolności! (*Rzęsiste brawa z prawej*). Wszystko inne: wolność osobista, wolność druku, ochrona prawa domowego, wolność stowarzyszeń, swoboda przenoszenia się — wszystko to będzie niemożliwem i wręcz iluzorycznem, jeżeli język jest z pod prawa wyjęty i w niewolnicze poddany jarzmo. Spojrzyjcie na przygnębienie umysłów w Poznańskiem, spojrzyjcie na opustoszałe w pięknej Lotaryngii miasto Metz a mieć będziecie dowód prawdy słów moich...

W wieku naszym zadaniem wielkich języków cywilizacyjnych nie powinno być wytępienie i gwałtowne zdobycie mniejszych, ale ich użyźnienie, uszlachetnienie, podniesienie do siebie. Chętnie uznaję błogi wpływ wielkich języków cywilizacyjnych, o którym mówił poseł Tomaszczuk. Ale zależy on od jednego ważnego warunku dobrowolności. Gdzie tego warunku niema, gdzie zaczyna się przymus, tam już niema owych błogich wpływów.“

Mówca przeszedł następnie do obaw niemców o całość ich narodowości, obaw zgoła nieuzasadnionych, i tak mówił dalej:

„Należałoby już raz o narodowości i języku tak bezstronnie sądzić, tak logicznie wnioskować, jak o każdym innym przedmiocie. Należałoby przecie raz już sobie powiedzieć, że prawo stwierdzania się czynem stoi otworem dla wszystkich narodowości bez krzywdy innych, tak jak powietrze dla płuc wszystkich, jak światło dla oczu wszystkich i jak przez to nikt inny atomu światła lub powietrza nie traci.

Kto tego pojąć nie może, ten niema zmysłu do zrozumienia istoty wolności, ten nie zasługuje na zaszczytną nazwę liberalnego człowieka! Jak zaś u was, panowie z lewicy, ta istota jest rozumianą, smutny tego dowód złożył mówca wasz, dr. Magg. Bezpośrednio po przekonywającej i świetnej obronie równouprawnienia ze strony posła Grégra, po jego gorącem odwołaniu się do liberalizmu wszystkich — dr. Magg pod koniec swej mowy wybuchnął starą piosnką: „Jesteśmy niemcami i chcemy nimi pozostać — tego nam nie odbierzecie!“ Ależ, na Boga, któż wam to chce odebrać? Jakiż szaleniec odważyłby się odebrać niemcom ich niemieckość a choćby tylko ją ograniczyć? Toż uwierzcie raz przecie, że *równouprawnienie nikomu nic nie zabiera i nikogo w niczem nie ogranicza!* (*Cisza w sali — później przytakiwania i oklaski*).“

Niemniej raźno odparł Hausner wycieczki Tomaszczuka przeciw Galicyi.

„Jeżeli zdaleka tylko słychać, że np. na kolei z Tarnowa do Leluchowa, albo z Przemyśla do Łupkowa kiedykolwiek język polski mógłby być zaprowadzony, podnoszą się zaraz wrzaski i zaraz zagrożoną jest bitność armii, mobilizacya i jedność państwa. Ale na tych samych kolejach, po drugiej stronie słupów granicznych, od Leluchowa do Orła i od Łupkowa do Legenye-Sz. Mihaly, oddawna już jest zaprowadzony język węgierski i nie zaszkodziło to bitności armii, ani mobilizacyi, ani jedności państwa... (*Wesołość*). A to wszystko dlatego, że my jesteśmy łagodni, ulegli, umiarkowani a węgrzy postępują stanowczo, bezwzględnie i radykalnie.“

Chateaubriand twierdził o arystokracyi rodowej, że zwykle przechodzi ona trzy epoki: przewagi zalet, kiedy uznania jest godną — przywilejów i gwałtów, kiedy jest znienawidzoną — próżności bez siły, kiedy bywa czasem... śmieszną. Twierdzenie to da się z zupełnem prawem zastosować także do *arystokracyi narodowości*, jaką wyście, panowie, stworzyli i pielęgnujecie. Niemcy mają w Austryi faktyczną przewagę i pewne przed innymi narodami zalety. To uznawałem zawsze a nieraz obszerniej wyłuszczałem i niema jednej jasnej głowy między niemcami, któraby temu zaprzeczyła. Zachowajcież spokojnie i z godnością tę przewagę, nie domagajcie się gwałtownie przywilejów, bo te rodzą nienawiść i czuwajcie dobrze, aby między wami nie było objawów, które śmiech obudzają...“

„Wiedzcie wreszcie — zakończył przedstawiciel Galicyi — że odrzucamy stanowczo podaną nam miskę soczewicy, wyłączenie kraju naszego z obrębu ważności języka państwowego, bo przyjęcie jej byłoby sromotną zdradą naszych wiernych sprzymierzeńców w walce o autonomię i równouprawnienie.“

Hucznemi brawami nagrodziła prawica rzecznika swego. I nasze dłonie składają się do szczerego oklasku...

**O znanej odezwie** obywateli poznańskich pisze miejscowy *Kuryer*:

„Odezwa zjawia się późno, ależ wszak lepiej późno, niż nigdy! Większa własność ziemska w Wielkiem Ks. Poznańskiem wynosiła według statystycznych obliczeń w ostatnim czasie dokonanych 1,692,500 hektarów i to w obwodzie poznańskim 1,029,700 a w bydgoskim 662,800 hekt. Z tej ogólnej liczby przypada na polaków 717,900, na niemców 974,600 hekt. Szczegółowo: w poznańskim obwodzie 497,900 ht. w polskich rękach — 531,800 w niemieckich; w bydgoskim obw. 220,000 ht. w polskich rękach — 442,800 w niemieckich. Stosunek ten w ostatnich trzech latach pogorszył się jeszcze tak, że obecnie polacy mają 42, niemcy zaś 58% większej własności ziemskiej.

Smutno, doprawdy! Niechże choć słowa wasze, panowie „kurczyciele ojczyzny,“ nie pozostaną słowami i w czyn się zamienią! Bo już źle zaczyna być nie tylko z ojczyzną, ale i z wami...

---

# O PRAWDĘ.

(Projekt filii „Towarzystwa Zachęty Rosyjskiego Przemysłu i Handlu“ w świetle pewnych sprawozdań).

Nie wykroczę przeciwko obowiązkowi popierania przedsięwzięć pożytecznych dla ogółu i nie sprzeniewierzę się sympatyi dla projektu filii Towarzystwa Zachęty Przemysłu i Handlu, gdy pozwolę sobie zwrócić uwagę na sposób poruszania i rozbierania tej sprawy w pewnym organie, który swoją lekkomyślnością przynosi szkodę naszej opinii publicznej. W nrze 3 *Prawdy* zamieszczono ważniejsze szczegóły, dotyczące pierwszych kroków rzeczonego projektu, obok kilku uwag, przemawiających na jego korzyść; zresztą, o ile znam inne odezwy gazet naszych, nigdzie więcej szczegółów, ani wszechstronnego sądu o nim nie zdarzyło mi się spotkać. Uważając też za zbyteczne zawiązywanie między czytelnikiem a projektem nowej znajomości, postaram się uzasadnić to, co o sposobie sądzenia go wprasie powiedziałem na wstępie.

Uderzającym jest mianowicie różowy pogląd na samodzielność przyszłej filii, niezgadzający się przedewszystkiem z brzmieniem odnośnej instrukcyi, a następnie pozbawiony dopełniającego ją uzasadnienia—jeżeli ono istnieje—które stanowić by mogło rękojmię owego poglądu.

W jednym z artykułów, poświęconych temu przedmiotowi, czytamy: „Towarzystwo (filia) nie będzie instytucyą samodzielną...“ „Niech to jednak nie obraża miłości własnej tutejszych przemysłowców i kupców, gdyż filie petersburskiego Towarzystwa zachęty przemysłu korzystają z zupełnej autonomii wewnętrznej, ograniczonej tem tylko, iż wszystkie podania do władz w przedmiocie zmian w taryfie, kolei itd. przedstawiają nie bezpośrednio, lecz za pośrednictwem głównego zarządu (komitetu) w Petersburgu (*Kuryer warszawski*).

Czytając powyższe słowa, równie jak cały artykuł, można by sądzić, że istotnie, oprócz wspomnianych ograniczeń nie ma żadnych innych. Wprawdzie nie pominięto kwestyi wpisowego na członka filii, które, jak wiadomo, w większej części staje się własnością komitetu; natomiast wszystkie inne ścieśnienia autor pominął. Zaznacza on dalej, jako przywileje przemawiające na korzyść projektu, że filia warszawska: 1) nosić będzie nazwę Towarzystwa Zachęty Przemysłu i Handlu dla Królestwa Polskiego i 2) prowadzić wszelkie obrady w języku polskim. Oprócz tego sprawozdawca *Kur. warszawskiego* w drugim swoim artykule pociesza czytelników, że zapłaciwszy $^2/_3$ wpisowego komitetowi, będą mogli oprócz 15 rubli coś jeszcze wnosić dodatkowo wyłącznie na korzyść filii. Tak się przedstawia, według tego pisma, projekt stanowiący „prawo,“ do którego, jak mówi p. Handtkie, „przychodzi się.“

W rzeczywistości jest ono nieco odmiennem. Przekonywa o tem ta sama Instrukcya, na którą powołuje się sprawozdanie i na którą my powoływać się będziemy, jako na źródło informacyi najbezpieczniejsze. Mamy ją przed sobą i znajdujemy szczegóły następujące.

Oprócz prezesa i vice-prezesa—których wybór nie zatwierdzonym przez komitet — jak chce *Kuryer warszawski*—lecz zakomunikowanym do wiadomości tylko być winien (§ 2 Instrukcyi z r. 1869)—istnieją ograniczenia daleko ważniejsze

O podaniach do władz w Instrukcyi niemamowy, gdyż to spełnia Towarzystwo w osobie komitetu petersburskiego wyłącznie, o czem mówi nie Instrukcya, lecz ustawa; pierwsza zaś ograniczając drugą na użytek filij, rozciąga nad niemi bardzo ścisłą kontrolę. Zastrzega ona mianowicie § 4: wszelkie pytania, dotyczące potrzeb miejscowego przemysłu i handlu, opracowane w filii, łącznie z zapadłemi uchwałami obowiązana ona jest komunikować zawczasu komitetowi I sprawozdanie z działalności swej winna mu dostarczyć nie później, jak 1 stycznia. dla wydrukowania wraz ze sprawozdaniem Towarzystwa. W § 5: filia przyjmuje wszelkie podania w sprawie potrzeb przemysłu i handlu od członków swoich i od osób obcych, oraz opatrzone własnymi wnioskami odsyła do komitetu dla dalszego rozpatrzenia i opracowania. W § 6: filia obowiązana jest roztrząsać wszelkie projekty i pytania, jakie komitet uzna za stosowne jej zakomunikować. Wreszcie w § 7: uchwały filii i podania drukują się z rozporządzenia komitetu na rachunek sum filii. Oprócz powyższych artykułów ustawodawczych znajdujemy w ostatnim wydaniu Ustawy i Instrukcyi komentarz, rzucający wyraźne światło na ducha instytucyi. „Wydawane kosztem komitetu w Petersburgu — są słowa komentarza — *Trudy Obszczestwa dla sodiejstwija russkoj promyszliennosti i torgowli* — wysyłane każdemu członkowi Towarzystwa, stanowią dla wszystkich filij od Irkucka, Taszkientu i Tyflisu — do Odesy, *Warszawy* i Rygi organ, ześrodkowujący wszelkie potrzeby i kwestye dla opracowania ich wszechstronnego i rozjaśnienia, kojarzący harmonijnie nasze rozproszone siły, środki i wiedzę z naszemi potrzebami i przedsiębierczością." Przytoczony urywek komentarza świadczy, że komitet nie miał w zasadzie nic przeciw założeniu fili warszawskiej, lecz przeciwnie, może się cieszyć z jej otwarcia. Przeczytawszy to wszystko i rozpatrzywszy się w Instrukcyi, ze zdziwieniem czytamy zapewnienie, że instytucya warszawska będzie miała charakter autonomiczny i pytamy, jakie są podstawy dla podobnego twierdzenia? Szereg paragrafów, obowiązujących każdą filię „od Irkucka do Warszawy" mówi wyraźnie, że nietylko w odwoływaniu się do rządu, lecz w każdej zapadłej uchwale, podaniu i wniosku, w sprawozdaniu rocznem, ogłaszaniu drukiem prac fiilii itd. ta ostatnia obowiązaną jest znosić się z komitetem, który dalej roztrząsa podjęte sprawy, drukuje sprawozdania roczne w ogólnej relacyi Towarzystwa, poleca rozpatrywać kwestye z własnej ręki, drukować prace filii jej własnym kosztem, a każdą uchwałę, wniosek, podanie bezpośrednio i niezwłocznie kontroluje.

Pytamy więc, gdzie tu jest samodzielność, o której mówi *Kuryer*? Sądzę, że dwa przywileje, o których wspominają sprawozdania — o nazwie i języku obrad — nie przeważą szali ograniczeń, na której leżą paragrafy takie, jak przytoczone, stanowiące ścisły nad każdą czynnością filii dozór. Mówiąc prawdę, filia jest zupełnie i całkowicie zależną od komitetu, bez niego kroku stąpić nie może; dwa zaś rzeczone przywileje, w niczem niewykraczające z granic Instrukcyi, rygoru jej nie naruszają, lecz o samodzielności działania nie decydują. Może kto zarzuci nam, że *Kuryer Warsz.* opiera swe wywody na podstawach odmiennych od naszych: w takim razie, czemu powołuje się na artykuły 1 i 3 Instrukcyi, o których mówi, że równają filię z samem Towarzystwem (artykuły nader ogólnikowe i uszczuplone w treści szeregiem następnych), kiedy jednocześnie pomija wszystkie te, gdzie się mieszczą ograniczenia? Dziwny zaiste sposób popularyzowania! I to się robi z projektem, który dla publiczności naszej jest nowym i którego przyjęcie jest koniecznem!

Do takiego aparatu faktycznego dołączono uwagi treści ogólnej. „Mniemać wypada — czytamy np. — że w sprawie tej, jak zresztą w wielu naszych sprawach, główną rolę odgrywały znane powszechnie czynniki, jak sceptycyzm, brak skutecznej inicyatywy itp." Za ten morał dany społeczeństwu — Łódź otrzymuje kompliment, że „okazała się praktyczniejszą (sic) od Warszawy." Już to nie od jednego krytyka słyszymy, że projekt robi pocieszające wrażenie, jako objaw zwrotu na korzyść musowego wyzyskiwania dzisiejszych warunków. Czy słusznie można go uważać za taki i czy zarzuty przytoczone — sprawiedliwe w owych razach — są w danym razie uzasadnione — pragniemy wyjaśnić.

Geneza niniejszego projektu jest bardzo pouczająca. Za kulisami w roku 1873 nie było nikogo, mogącego poprzeć skutecznie interesy projektu filii, o ile on potrzebował poparcia w komitecie, co było nieuniknionem dla zdobycia nawet tak małych przywilejów, jak obiecana — nazwa i język obrad. A przyznać potrzeba, że w urzeczywistnieniu projektu grają one bardzo ważną, zachęcającą znakomicie rolę. Obecnie od kilku lat w komitecie jako jeden z wice prezesów uczestniczy p. Józef Poznański, autor cennego dzieła *Proizwoditielnyja siły Carstwa Polskawo* — gorliwy obrońca przemysłu i handlu naszego. J. Poznański własnym udziałem, artykułami i poparciem skutecznem projektu filii łódzkiej spopularyzował poniekąd Towarzystwo i w Warszawie. Nie tyle więc zdolności oportunistycznej ogółu winniśmy nowy projekt, ile innym pobudkom.

Istniejąca od roku w Łodzi filia Towarzystwa petersburskiego wpłynęła też bezpośrednio na zamiar utworzenia warszawskiej. W tym czynniku przemawia głośno przykład, lecz bądź co bądź, nie zmiana stopniowa przekonań ogółu. Łódź okazała się „praktyczniejszą," wątpię jednak, czy się znajdzie kto, co by potrafił dowieść, że Łódź rządziła się oportunizmem, świadomym korzyści powszechnej, nie zaś czysto prywatnym interesem, którego do wysokości zwrotu przekonań ogółu wynieść bezwątpienia niepodobna.

Wreszcie o charakterze projektu świadczy skład jego założycieli. Według pierwszej listy, ogłoszonej w *Kuryerze Warszawskim*, można się przekonać, że do niej wchodzą dwa żywioły. Naprzód przemysłowy, którego interesy mają częstą styczność z rządem i potrzebują w Petersburgu wstawiennictwa. Żywioł ten, jak za dotknięciem różczki czarodziejskiej, stawił się licznie i to w tym składzie, który uosabia gałęzie przemysłu, świeżo zagrożone nowem cła podwyższeniem (np. wyroby żelazne zagrożone ocleniem węgla kamiennego). Powtóre — przemysł techniczny, który tworząc znaczne liczebnie grono jednostek szukających pracy, chwyta się skwapliwie udziału w instytucyi, zapewniającej mu szerszy widnokrąg stosunków.

Podsumowawszy przytoczone szczegóły, mamy, jak sądzę, racyę twierdzić, że na powstanie nowej instytucyi złożyły się czynniki dosyć partykularnej natury, a już o zwrocie przekonań ogółu, pomimo wszelkiego ubolewania nad jego gnuśnością, mówić nie podobna.

Dodać winniśmy, że w liście założycieli mieści się kilka nazwisk, które, zdaje się, nic innego, prócz obywatelskiego poczucia potrzeby popierania dobra publicznego — całkiem bezinteresownie — nie miały na celu. Nazwiska te jednak nie nadają wybitnego charakteru liście, więc ona o zwrocie w postępowaniu ogólnem, jak rzekliśmy, nie świadczy. Potrzeba udziału nie jednej, ani dwóch warstw społecznych, żeby wyprowadzić z tego pojedynczego faktu wniosek, a zwłaszcza taki, jaki upatruje przytoczone przez nas sprawozdanie.

Potrzeba zaś wielkiego pośpiechu we wnioskowaniu i wyrokowaniu, żeby w danym razie oskarżać o beczynność i opieszałość społeczeństwo za to, że nie skosztowało owocu zakazanego, a następnie chwalić je za przyjęcie pozwolonego, dlatego tylko, że ostatni korzystnym jest dla pewnych grup społecznych, które go poparły, podczas gdy ogół milczy. Rozumować w sposób podobny, jest to zbyt drogo okupywać korzyść projektowanej instytucyi i wtórować ulubionej przygrywce pewnych krytyków, żeśmy się niczego nie nauczyli i nie zapomnieli*). W rezultacie idzie nam o to, żeby opinia publiczna przyjmowała te i tym podobne konieczne projekty świadomie, poznawszy je gruntownie, a potem, żeby rozróżniała dokładnie, kto głosuje i popiera bodaj najkorzystniejszy projekt. Tym sposobem będziemy wiedzieli jasno i dokładnie, w czyjem ręku jest ster najżywotniejszych spraw publicznych i komu dobre i złe kroki w przywództwie sprawom tym zawdzięczać należy.

*Aleksander Pawłowski.*

*Zdołbunów, w styczniu.*

*) Przypomnieć warto, że powtarzając ją *Mosk. Wiedomosti et tutti quanti* wyjmują stale z pod tego zarzutu klasę kupców i przemysłowców, jak np. świeżo, w odpowiedzi *Ruskiemu Kurjerowi*.

---

## KRONIKA BIEŻĄCA.

**Szkoła** ogrodnicza dla kobiet, o której pisaliśmy, wkrótce już zostanie otworzoną. Przyjmowane będą do niej kandydatki, liczące najmniej 16 lat wieku, fizycznie rozwinięte, które otrzymały przynajmniej elementarne wykształcenie. Nauka trwać ma dwa lata, przyczem wykłady teoretyczne (oprócz botaniki opisowej) odbywać się będą jedynie w półroczu zimowem. Program nauk zawiera: Kurs I: botanika opisowa, zoologia w zastosowaniu do ogrodnictwa, warzywnictwo, kwiaciarstwo gruntowe, sadownictwo, teorya ogrodnictwa i rysunki. Kurs II: Botanika, owocoznawstwo, kwiaciarstwo budynkowe, dendrologia (hodowla drzew i nasion), warzywnictwo inspektowe, nauka zakładania ogrodów i również rysunki.

**Termin** służby wojskowej dla osób, korzystających z przywileju wykształcenia, ma być powiększony, przyczem pierwsza i druga kategorya zostaną zrównane. Nadal ochotnicy służyć mają rok, a poborowi obu klas 1 i pół roku.

**Bank** włościański. Według doniesień gazety *Nowosti*, utworzoną została komisya, mająca opracować ustawę banku włościańskiego w Królestwie, a właściwie zastosowanie normalnej ustawy dla tych banków do miejscowych warunków. Zakres nowej instytucyi będzie dosyć obszerny, gdyż oprócz operacyj finansowych zajmie się ona jeszcze uregulowaniem stosunków rolnych.

**Procesy prasowe.** Redaktor *Rusi* p. Aksakow wytoczył *Now. Wremieni* proces za to, że w ogłoszeniach pomieszczonych w tej gazecie zamiast *Ruś* wydrukowano *Guś* (Gęś), co ośmieszyło i naraziło na straty skarżącego.

— Kijowska *Zaria* podaje ciekawe cyfry, dotyczące procesów o dyfamacyę. W ciągu czterech lat istnienia gazeta miała ich 25 i tylko w trzech wypadkach redaktor skazany został na karę pieniężną, w jednym zaś na trzy dni aresztu, ale ten wyrok pierwszej instancyi Izba sądowa uchyliła.

— Pp. Wacław Szymanowski, redaktor *Kuryera Warszawskiego* i Fr. Nowodworski, współpracownik tegoż pisma, oskarżeni o zamieszczenie w sprawozdaniu sądowem szczegółów niepodlegających opublikowaniu, uwolnieni zostali przez Sąd Okręgowy od odpowiedzialności.

**Pomyłka.** Jeden z kierowników teatrów rosyjskich, jak opowiada *Nowoje Wremia*, nazwał Sofoklesa — Sokratesem. Gdy mu uczyniono grzeczną uwagę, obrażony dostojnik odparł: „Wszystko jedno, czy tam Sofokles, czy Sofron—myśmy nie gazeciarze jacyś!"

**Wysiedlenie.** 10,000 żydów, niemających prawa stałego pobytu, otrzymało rozkaz wysiedlenia się z gubernii czernichowskiej do miejsc właściwego swego zamieszkania.

**Koleje** Cesarstwa i Królestwa zużyły w r. z. 80 milionów pudów opału mineralnego i 650.000 sążni kub. drzewa.

**Niemiecka** gazeta w Warszawie ma wkrótce powstać według zapewnienia *Köln. Ztg.* Celem jej będzie torowanie dróg przemysłowi niemieckiemu.

**Prasa polska.** We Wrocławiu wychodzić zaczną *Nowiny szląskie*, wydawane przez pastora Badurę dla protestantów polaków. Druk gotycki.

**Towarzystwo** ubezpieczeń robotników fabrycznych na życie i od wypadków losowych wkrótce ma powstać z inicyatywy kilku przemysłowców warszawskich. Odpowiednia ustawa została już przedstawioną do zatwierdzenia. Jakkolwiek uznajemy ważne znaczenie podobnej instytucyi, wątpimy jednak, czy bez udziału państwa istnienie jej będzie skutecznem.

**Gałganiarze** paryscy wskutek rozporządzenia rady miejskiej, zabraniającego wyrzucać śmiecie na ulicę, pozbawieni zostali znacznej części zarobku. Obecnie

odbywają meetyngi i spodziewają się zmusić radę do ustępstwa. Profesyą tą zajmuje się w Paryżu przeszło 30,000 osób.

**Wybryk** antisemitów. W Krajowy, w Rumunii, podczas przedstawienia trupy żydowskiej, nieznany zbrodniarz rzucił z galeryi bombę na siedzących w parterze. Kilkunastu izraelitów zostało rannych. Przy wybuchu z galeryi rozległy się krzyki: „Precz z żydami!“ Zamachu dokonali podobno studenci wraz z aktorami miejscowego narodowego teatru.

**Zmarli.** Eugeniusz Rouher, b. minister Napoleona III, po upadku tegoż parlamentarny przywódca bonapartystów. Za cesarstwa cieszył się niezwykłym wpływem. W ostatnich latach nie przyjmował czynnego udziału w polityce.

## ODPOWIEDZI REDAKCYI.

*Pani M. Sz. w Białocerkwi*, Rs. 6 (z przesyłką), ale dopiero od 1 marca, gdyż jeden egzemplarz prywatny już sprzedany.

*Czytelniczce.* Tylko się Pani zdaje. Wszyscy są niewinni *psychologicznie* (robią to, co muszą), ale bywają winni *społecznie* (moralnie), to jest nie w stosunku do swojej woli, ale w stosunku do innych ludzi. Tak np. wyrywamy chwast, który przecież jest niewinnym, zabijamy szczura, wilka itd. Co innego jest *tłomaczenie* czynów (psychologia), a co innego ich *ocenianie* (etyka).

*Mazg. z Chmielnej.* Niedługo — terminu ściśle oznaczyć nie możemy, bo on nie od nas zależy.

*P. Andrzejowi Sz. w Petersburgu.* Sprzedany—inny do właściwej pory zatrzymamy (rs. 5). Przesyłka wszystkich książek rs. 1.

*P. Józefowi L. w Łomży.* Mimo chęci — nie mogliśmy.

*P. St. R. w R.* Przydały się, ale zużytkować ich nie mogliśmy.

## OFIARY.

*Dla rzeźbiarski.* Piotr Kostecki z Wysokiej rs. 2.

*Dla studentek polek w Petersburgu.* Franciszek Nowakowski rs. 1; K. P. rs. 4; Dr. Raczyński z Temnikowa rs. 5; M. C. rs. 5; Ludwik Dąbrowski rs. 2.

**Sprostowanie.** W nrze 5 *Prawdy* w ofiarach dla rzeźbiarki zamiast rs. 7 kop. 50, czytaj rs. 1 k. 50.

## Ogłoszenia.



**Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.**

**Prenumeratorzy „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.**

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 27 Января 1884 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. **A. Świętochowski.**